



FRANCES CROWNE

ŚWIATŁO I CIEŃ



Tytuł oryginału: Sunlight and Shadow

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie jest dobrze, tato. Zrezygnowałam z wykonywania zawodu pielęgniarki i jest to moja nieodwołalna decyzja.

Ian Frenais, wysoki, dystyngowany mężczyzna, wyjechał szerokim łukiem z terenu lotniska na wyspie Jersey i włączył się w potok pojazdów na głównej arterii. Było słoneczne sierpniowe popołudnie. Trwał sezon urlopowy. Ale w oczach starszego pana, gdy spojrział na córkę, czaił się niepokój. On i jego żona, Dorothy, żyli tą sprawą już od wielu miesięcy, ale upływ czasu, niestety, nie goił ran.

- Cóż, skoro tak twierdzisz, moja droga - odparł spokojnym, mocnym głosem. - Ale nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Zresztą już cię o to prosiłem wczoraj przez telefon.

Spojrzenie smutnych, ciemnobrązowych oczu Susannah przesunęło się mechanicznie po wakacyjnym tłumie St Helier. Prędko jednak opuścili miasto. Zmierzali w głąb wyspy. Mignęła mała przydrożna gospoda.

- Wiem, że trudno ci to zrozumieć, tato, ale jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

- Dobrze rozumiem, wierz mi, kochanie, przede wszystkim jednak musisz wypocząć. Ostatecznie przyjechałaś tu z Belfastu, żeby oderwać się od tamtych spraw. Dość przeszłaś przez te trzy lata. A straszniejszego ciosu, niż tragiczna śmierć Patricka, nie można sobie wyobrazić.

Susy zagryzła wargi i spojrzała na zaręczynowy pierścionek z brylantowym oczkiem. Dostała go od Patricka na tydzień przed ich planowanym ślubem. Jednak jej narzeczony służył w armii, zaś brytyjska armia w Belfaście ma pełne ręce roboty. Podczas rutynowego nocnego patrolu Patrick zbliżył się do samochodu, który wydał mu się podejrzany. I chyba nawet już nie zdążył sobie uświadomić, że podejrzenia te były jak najbardziej słuszne, gdyż straszliwa eksplozja samochodu-pułapki poszarpała jego ciało.

Od tego momentu życie Susy, która pracowała jako pielęgniarka na oddziale ortopedycznym szpitala w Belfaście, zaczęło powoli, choć nieubłaganie, nabierać czarnych barw.

- Jednak chyba trochę wychodzę z dołka, tato, skoro wróciłam do domu. Półtora roku temu nie mogłabym opuścić Irlandii. Byłoby to jak... jak pozostawienie tam Patricka samego. - Jej wargi drżały, jakby udzieliło się im drżenie głosu. - Doprawdy, czyste wariactwo.

Jechali teraz szczytem urwistego klifu. Turkusowa płaszczyna morza załamywała się bielą piany przy skalistym brzegu. Wyglądało to tak, jakby jadącej kabrioletem pannie młodej wiatr porwał welon, który opadł na fale.

- Pamiętaj, Susy - powiedział ojciec, głaszcząc ją po dłoni - że ja i twoja matka zrobimy wszystko, żebyś wyrwała się z tego zakłętego kręgu bolesnej przeszłości.

- Dziękuję, tato. Jesteście naprawdę cudowni. Dlatego dość o mnie. Chcę dowiedzieć się czegoś o was. Czy mój tata, najwspanialszy pediatra w Wielkiej Brytanii, nadal ma kłopoty z brakiem personelu? I czy moja mama, bardziej anioł niż kobieta, jest wciąż maniaczką dobroczynności?

Doktor Frenais zachichotał. Susy z dumą pomyślała, że jej ojciec jest wciąż bardzo przystojnym mężczyzną.

- Z tej zacnej i szlachtetnej manii nigdy się nie wyleczy. Również trafiłaś w dziesiątkę, jeśli chodzi o problem personelu. - Głos pana Frenais nabrał śpiewnego tonu, jak zwykle wówczas, kiedy poruszał pasjonujący go temat. - Chociaż z satysfakcją muszę przyznać, że nowe wyposażenie oddziału jest niemal skompletowane. Kilka drobnych uzupełnień i instalujemy je w przyszłym tygodniu. Czy wspomniałem ci w którymś z listów, że mam nowego asystenta, doktora Rossa Beaumaris?

- Nie pamiętam. Od dawna pracuje w szpitalu?

- Dostatecznie długo, by wiedzieć, co jest czym. Około pięciu lat. Rozwiódł się i mieszka na wyspie. Bardzo miły chłop i wyjątkowo bystry. Dosłownie żyje pracą.

- No to wystawiłeś mu fajną cenzurkę. Uważasz, że wybrałeś właściwego człowieka?

- Najzupełniej. Łączy nas zbieżność pomysłów i planów. Przed przejściem na emeryturę, co stanie się już niebawem, pragnę przekazać ster w dobre ręce.

- Daj spokój, tato. Przecież z ciebie dopiero sześćdziesięciodwuletni młokos. Jeszcze bardzo długo będziesz udzielał się zawodowo, bo nikt i nic nie zdoła odciągnąć cię od twojej pasji.

Ian Frenais uśmiechnął się.

- Prawdopodobnie masz rację, kochanie. Teraz najważniejszą rzeczą jest skompletowanie naprawdę dobrego zespołu.

- Czy pozostawisz wybór temu... Beaumaris?

- Częściowo. Szanuje mnie i liczy się z moim zdaniem, więc przyjmie każdego, kogo mu polecę. Ale chyba za wcześnie o tym mówić. Pytałaś o matkę. Ostatnio bardzo udziela się w miejscowym sierocińcu dla kalekich

dzieci. Nie muszę chyba dodawać, że i mnie wciągnęła do akcji. Nie mam zbyt wiele czasu, a jednak zawsze coś dla mnie znajdzie.

- Naprawdę wzruszasz mnie, tato. Jesteście wspaniali.

Jan Frenais pogratulował sobie w duchu drobnego sukcesu. Udało mu się odciągnąć myśli córki od tamtej bolesnej historii.

- Przede wszystkim mamy wspaniałą córkę. Podejrzewam, że w tej chwili matka z myślą o niej krząta się po kuchni.

Skręcili z szosy w żwirową alejkę i zatrzymali się przed piętrowym domem. Jego różowe ściany były dodatkowo przyozdobione karmazynowa czerwienią pnących róż. Po obu stronach frontowych drzwi stały obszerne donice z różnorodnymi kwiatami, od nagietek po frezje, nad którymi uwijały się oszalałe pszczoły.

Susy wysiadła z samochodu. Słońce rozświetliło w jej długich" brązowych włosach złotawe błyski. Była smukła jak witka brzoza, a tę jej szczupłość podkreślały jeszcze białe dżinsy i żółta koszulka typu T-shirt.

- Jak to dobrze znowu być w rodzinnym domu - powiedziała cichym głosem.

- Tutaj wydzwigniesz się ze swojego załamania - rzekł ojciec, obejmując ją ramieniem. - Obiecuję ci to.

W drzwiach pojawiła się matka. Susy poczuła przypływ wzruszenia. Matka była samym błękitem.

Jej niebieskie oczy i niebieska sukienka przywodziły na myśl tamte szczęśliwe chwile dzieciństwa. W jakim kontraście do nich pozostawały ostatnie miesiące... Tuląc się do matki, Susy łykała łyzy szczęścia i łyzy bezbrzeżnego smutku.

- Susy, moja córeczko, nie potrafię wyrazić... - Na widok zagubienia, malującego się na twarzy córki, Dorothy zabrakło słów. - Jesteś wreszcie z nami, to cudowne.

Po chwili mgła jakby opadła i wszystko potoczyło się już naturalnie. Trzymając się za ręce i gawędząc, jakby nigdy się nie rozstawały, weszły do holu pachnącego różami i błyszczącego czystością. Zawsze praktyczna, Dorothy przeszła do spraw najważniejszych.

- Najpierw napijmy się mocnej herbaty. Wymęcę cię trochę, ale mam z tobą, Susy, tyle do pogadania. I zapewniam cię, na tej bladej twarzyczce niebawem pojawią się rumieńce. Z pewnością ostatnio jadałaś tyle co ptaszek, a ja mam zamiar to zmienić.

Kiedy wieczorem po smacznym i obfitym posiłku Susy poszła do swego pokoju, nie czuła się zmęczona. Chciała być tylko sama. Sama ze swoimi myślami o Patricku i nie spełnionej, „zamordowanej" miłości.

W sypialni czekała ją niespodzianka. Dawne meble zniknęły, a na ich miejscu pojawiły się nowe, nowocześniejsze i dużo wygodniejsze. Miękką rozkładaną kanapą wręcz zapraszała, by wyciągnąć się na niej i spędzić w tej pozycji resztę dnia, zawieszając wszelkie decyzje i zdając się na troskliwą opiekę rodziców. Piękna perspektywa, pomyślała Susy z gorzką ironią. Ostatecznie, cóż jeszcze życie mogło jej ofiarować?

Wzięła prysznic, zarzuciła szlafrok i podeszła do okna. Za ogrodem i sadem rozpościerało się wysrebrzone morze. Przypomniała sobie zabawy, spory i walki na plaży, w których partnerem i przeciwnikiem był jej brat, Graham. Dwa lata od niej starszy, miał teraz dwadzieścia siedem lat i jako ekspert od komputerów przebywał w Stanach Zjednoczonych. Od dzieciństwa spragniony sukcesu, osiągnął go w stosunkowo młodym wieku. Ojciec co prawda kręcił nosem, że syn nie wybrał medycyny, ale w końcu pogodził się z faktami i był z Grahama bardzo dumny.

Susy, pragnąc poczuć się bliżej brata, przeszła do jego pokoju. Na ścianach wisiały fotografie: Graham grający w tenisa, Graham w stroju krykiecisty, Graham jako kapitan jedenastki, Graham z wiosłem razem z obsadą łodzi. We wszystkich tych dyscyplinach był naprawdę dobry.

A potem jej wzrok zaczął błądzić po grzbietach książek, by w końcu zatrzymać się na „Skarbnicy poezji”. Podarowała bratu ten tom z okazji zdania przez niego egzaminów wstępnych do liceum. Kartkując książkę, natknęła się w pewnym momencie na czystą stronę, gdzie widniał dwuwiersowy cytat:

Piękność, moc, młodość, kwiaty to, które usychają. Powinność, wiara, miłość wiecznie zielone trwają.

George Peel, 1558- 1597. (tłum. Maciej Słomczyński)

Przeczytała te słowa kilka razy, po czym powoli zamknęła książkę. Elżbietański poeta i dramatopisarz przemówił do chłopca z taką siłą, iż ten uznał jego słowa za godne przepisania i, być może, zapamiętania na całe życie. W jakim jednak sensie słowa te odnosiły się do niej? Czy wolno jej było porzucić pracę, którą kochała? Czyżby utraciła wiarę w siebie i w bliźnich? Od śmierci Patricka przeszła przez czyściec rozpacz, ale czyż miłość, która ich łączyła, nie powinna stać się zaczynem, korzeniem nowego życia...

Zamyślona, wróciła do swego pokoju i wsunęła się pod koc. Sen nadszedł szybko, jakby przywołany kojącym przesłaniem brata.

Popłynęły dni wypełnione lenistwem. Polegiwanie, jakieś krótkie lektury, rozmowy z matką, snucie się bez celu - oto, co stanowiło ich jedyną treść. Aż pewnego ranka Susy uświadomiła sobie, że minęły niepostrzeżenie

pełne dwa tygodnie. Jednak dzisiejszy dzień zaczął się wyjątkowo. Bezład jakby ustąpił, więc postanowiła pomóc matce w odszypułkowywaniu agrestu.

- Co za piękne przedpołudnie - zauważyła matka w pewnym momencie. - Wybierasz się popływać, Susy?

- Z pływaniem trochę za wiele zachodu - odparła, spoglądając na piramidę złotozielonych owoców. - Czy zużyjesz to wszystko? Ten róg obfitości?

Dorothy uśmiechnęła się pogodnie.

- Kochanie, część przeznaczymy na dżem, część zaś sprzedamy na organizowanym przeze mnie festynie. - Nagle przechyliła głowę, jakby nadśluchując. - Wydawało mi się, że słyszę samochód. Twój ojciec nabrał zwyczaju wpadania o tej porze do domu na kawę.

Susy szczerknęła nożyczkami i kolejna oliwkowa kulka utraciła swą ciemną kitkę.

- Tata to zabawnie wybredny pan. Widocznie na taką małą czarną, jaką ty mu serwujesz, nie może liczyć w szpitalu.

- Chyba jednak musiałam się przesłyszeć - powiedziała matka z rozczarowaniem w głosie.

- A może wprowadzisz mnie w sekrety swojej dobroczynnej działalności? - spytała Susy, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że tak mało wie o swoich rodzicach.

- Jak wiesz, opiekujemy się kalekami sierotami, a więc dziećmi podwójnie upośledzonymi. Pośredniczymy w adopcjach i wynajdujemy im nowych przyjaciół. Na każdego członka stowarzyszenia przypada sześcioro dzieci, za które jest szczególnie odpowiedzialny. Zabieramy je z sierocińca popołudniami, często do własnych domów, i w ogóle dbamy o to, by czuły się pełnoprawnymi członkami danej rodziny... - Dorothy uniosła głowę. - A jednak miałam rację. To ojciec. Ciekawe, z kim przyjechał. Lepiej zajmę się kawą.

W drzwiach kuchni pojawił się rozpromieniony Ian Frenais.

- Wchodź, Ross!

W pole widzenia Susy wkroczył z wielką pewnością siebie wysoki, ciemnowłosy, szczupły, harmonijnie zbudowany mężczyzna. Uderzyło ją, że jest wyższy od ojca o głowę.

Dorothy ciepło i radośnie powitała męża i jego asystenta, po czym przedstawiła sobie młodych.

- Córka - dodała zaraz - wzięła dłuższy urlop i postanowiła spędzić go u nas.

Susy obrzuciła gościa lekko spłoszonym spojrzeniem. Uśmiechał się z wdziękiem, zaś jego ciemnoniebieskie oczy i smągła twarz kojarzyły się bardziej z pokładem jachtu i morską bryzą niż z oddziałem pediatrycznym. Stosowniej wyglądałby w szortach i z obnażonym torsem niż w tym nienagannie skrojonym garniturze.

I wtedy stała się rzecz może niewinna i drobna, niemniej jednak dość krępująca. Dzień był parny, ciało samo spływało potem. Wstając z krzesła, by zrobić gościowi miejsce przy stole, Susy usłyszała, że jej uda z młażnięciem odklejają się od politurowanego siedzenia. Ciężkie rozbawienia w oczach Rossa niedwuznacznie zaświadczały, że on również to usłyszał.

- Dzień dobry, doktorze - wybąkała speszona. - Proszę usiąść.

I na tym skończyła się cała jej inwencja. Matka rozmawiała z ojcem, przygotowywała kawę, i nikt nie kwapił się, by jej pomóc w bawieniu gościa.

Na szczęście Ross przejął na siebie ciężar prowadzenia rozmowy.

- Wiem od lana, że przyjechałaś tu z Belfastu, Susy. Życie tam nie należy do łatwych, a na służbie zdrowia ciążą szczególne obowiązki.

Wzruszyła ramionami. Zauważyła, że ma długie rzęsy, zupełnie jak dziewczyna.

- Dokładnie takie same, jak we wszystkich rejonach, które są objęte wojną.

Skwitował jej odpowiedź nieznacznym grymasem. Wszystko wskazywało na to, że Ross nie jest w nastroju, by podjąć poważny temat.

- Przypuszczam, że przyjechałaś tutaj z zamiarem nadrobienia straconego czasu. Pamiętaj, dzisiaj Jersey, jutro cały świat!

Pomimo ogromnego wysiłku, by okazać się uprzejmą, Susy nagle poczuła, że obezwładnia ją melancholia, a wzrok zaczyna płać figle. Wydawało jej się, że to nie Ross, lecz Patrick patrzy na nią z tym częściowo pytającym, częściowo zdumionym wyrazem twarzy. Wstała i wyszeptala jakieś przeprosiny. Bóg jeden wiedział, co pomyślał sobie ten człowiek o córce lana Frenais!

Na górze u siebie w pokoju starała wziąć się w garść. Niewątpliwie zachowała się zbyt impulsywnie. Wyprowadziło ją z równowagi owo niezależne od jej woli skojarzenie Rossa z Patrickiem. Czy zawsze miało się tak dzieć, że identyczny kolor oczu, podobny timbre głosu, to samo ciepło uśmiechu miały krajać jej serce i budzić bolesne wspomnienia? A jednak tak właśnie zareagowała tym razem. Zalał ją potok obrazów z przeszłości. Pojawiła się przed nią ciemna otchłań rozpaczy.

Susy zwilżyła twarz zimną wodą i przebrała się w zwiewną letnią sukienkę. Wyszczotkowała włosy, a następnie związała je w węzeł na tyle głowy. Ten rytuał prostych czynności podziałał na nią kojąco. Uspokojona, zeszła do kuchni. Zastała matkę samą, mieszającą w garnku agrest.

- Wybacz, że okazałam się taka nietowarzyska. Ale wystarczy nowa twarz, żebym traciła cały humor.

Dorothy Frenais odłożyła drewnianą łyżkę.

- Usiądźmy na minutkę, kochanie. - Wsunęła dwa krzesła. - Jak wiesz, nie rozmawialiśmy jeszcze wiele o tej sprawie. Ja i twój ojciec uważamy, że trzeba pozostawić rzeczy własnemu biegowi, a czas zabliźni rany. Jesteś tu, by się odprężyć, odnaleźć własną tożsamość, wyleczyć ciało i duszę. Pośpiech byłby najgorszą rzeczą. I nie możesz przeproszać za każdy postęp, który oceniasz negatywnie. Najważniejsze, żebyś nie była zbyt samokrytyczna i nie brała sobie wszystkiego do serca. Uwierz w siebie.

Wiara... Było to słowo z tamtego wiersza... Susy wdzięczna była matce, że padło także z jej ust.

- Całkowicie zgadzam się z tobą, mamo.

- A teraz chciałabym wiedzieć, czy po południu wybierasz się na plażę. Bo mam zamiar przyprowadzić tu dwójkę dzieci z sierocińca. Dziś będą to Robin i Sandra...

- Nie sądzę, żebym...

W tym momencie zadzwonił telefon. Dorothy podniosła słuchawkę.

- Nie możesz... Bardzo mi przykro... Grunt to nie przejmować się. - Słuchawka wróciła na widelki, zaś Dorothy ciężko westchnęła. — Tego się właśnie obawiałam. Jej mała córeczka zachorowała i muszę teraz podzwonić po przyjaciółkach, czy któraś...

Susy nagle pojęła.

- Nie ma potrzeby. Ja pojedę.

W drodze do sierocińca matka przedstawiła jej bliżej dwójkę swych podopiecznych.

- Robin Masters ma sześć lat. Skłonny do introspekcji, bardzo inteligentny, lecz również skryty i nieufny. Ożywia się tylko w obecności Sandry, za którą przepada. A poza tym jest czarującym pieguskiem ze strzechą rudych włosów, dużymi błękitnymi oczami i rumieńcami na policzkach. Jego matka, bardzo młoda dziewczyna, kilka miesięcy temu przedawkowała i zmarła. Była narkomanką. Kiedy stwierdziła, że zaszła w ciążę, próbowała usunąć płód. W rezultacie Robin ma lekko zdeformowane stopy. Przeszedł szereg operacji, ale ślad kalectwa pozostał.

- Biedny chłopaczek. A dziewczynka?

- Cóż, Sandra to całkiem inne dziecko. Znalaziono ją w beciku na progu szpitala. Rówieśnica Robina, a jednak chłopiec ten zdołał już w niej wzbudzić coś w rodzaju macierzyńskich uczuć. Bardzo rozsądna dziewczynka, z trzeźwym podejściem do spraw. Mając chabrowe oczy i bladą twarzyczkę, z urody przypomina elfa. Jej słodkiemu uśmiechowi mało kto potrafi się oprzeć. Ona i Robin rozumieją się wyśmienicie. Mówiono mi, że zdarza się im rozmawiać w swoich fotelach jak dwojgu dorosłym. Bo Sandra jest po heinemedinie i prawdopodobnie będzie kaleką do końca swego życia. Susy westchnęła.

- Dlaczego świat jest taki okrutny...?

- Nikt tego nie wie, kochanie. Nie zmienimy go. Możemy jedynie nieść pomoc tym, którzy jej potrzebują.

Dojechały na miejsce, zabrały dzieci i poszły z nimi na plażę. Ciepła południowa bryza ledwie marszczyła powierzchnię morza. Piasek lśnił srebrzyście. Strome ściany skalne przypominały fronton gotyckiej katedry.

Instrukcje zostały wydane. Robin milczał. Sandra paplała coś trzy po trzy do Dorphy. Pchając przed sobą inwalidzki wózek, Susy wpatrywała się w rozjarzone słońcem włosy chłopca i jego smukłą szyję, która aż prosiła się, żeby ją pocałować.

- Więc ile masz lat, Robin? - zapytała wesoło. Odwrócił głowę i spojrzał na nią z powagą nastolatka.

- Sześć i pół.

- Ja mam tyle samo - zawołała Sandra, która nie chciała, żeby ją pominięto.

Robin uraczył ją wzgardliwym spojrzeniem.

- Tak, aleja obchodzę urodziny w Boże Narodzenie, a ty dwa dni później.

Dorothy i Susy wymieniły uśmiechy. Chłopiec najwyraźniej ożywił się i rozgadał.

- W porządku. Wiemy już, kiedy przypada dzień waszych urodzin, i jest to bardzo ważne. A teraz powiedzcie, w co chcielibyście się pobawić?

Robin pierwszy zdążył z odpowiedzią.

- Ja chcę zagrać w piłkę.

Sandra aż klasnęła w dłonie z uciechy.

- Proszę, Susy, proszę, ciociu Dorothy! Możemy?

Gra w piłkę, jaką obmyśliły, a która nieco przypominała baseball, okazała się wyśmienitą zabawą. Susy uganiała się za piłką po plaży, dzieci zaś rzucały ją ze swych wózków przy akompaniamencie okrzyków, pisków i śmiechów.

- Dalej, Susy, bo wpadnie do wody! Dobra stara Susy, rzuć ją do mnie! - krzyczał Robin.

W końcu wszyscy musieli trochę odpocząć i uspokoić oddechy. Susy pierwsza odzyskała formę i wybrała się na zbieranie muszel. Wróciła z wypełnioną po brzegi celofanową torebką.

Zaczął się sortowanie. Obowiązywało kryterium koloru. W rezultacie pojawiły się na piasku cztery kupki: perłowa, biała, plamiasta i czarna. Wreszcie na pamiątkę tej wycieczki Robin i Sandra wybrali sobie po największej i najpiękniejszej muszli.

- Moja jest największa...

- Nie, moja!

- Ona chyba nie ma oczu, prawda, Susy? Moja jest większa!

- Obie są duże - odparła Susy ze śmiechem, częstując dzieci czekoladą. - A teraz już czas na podwieczorek.

Wózki znów zaczęły się toczyć po piasku ubitym przez przypyływy.

- Ale nie wracamy jeszcze do sierocińca? - zapytał Robin z niepokojem w głosie.

- Nie, mój ty szkrabie. Jestem pewna, że ciocia Dorothy szykuje jeszcze jakąś niespodziankę.

Niespodzianką okazały się soczyste gruszki i brzoskwinie oraz animowany film na wideo.

Czas było wracać. Robin dał się udobruchać zapewnieniem, iż żegnają się na krótko. Natomiast Sandra przyjęła werdykt ze stoickim spokojem.

Kiedy po odwiezieniu dzieci wracały do domu, Dorothy w pewnym momencie rzekła do Susy z uśmiechem:

- Dziękuję, kochanie. Mam nadzieję, że nie kosztowało cię to zbyt wiele wysiłku?

- Skądże znowu. Bawiłam się świetnie. Prawdę mówiąc, szepnęłam Robinowi, że być może zabiorę go jutro, ale ty możesz mieć inne plany i powstanie problem Sandry.

- Nie przejmuj się tym. Uzgodnimy rzecz z pracownikami sierocińca, oni zaś zorganizują dla niej coś równie atrakcyjnego. To są wspaniali ludzie, zaś duszą zespołu jest dyrektorka placówki, matka trójki nastolatków, pani Harris.

- Tak, wygląda bardzo macierzyńsko - przyznała Susy dość mechanicznie i zaraz wróciła do interesującej ją kwestii. - Wiesz, odniosłam wrażenie, że Robin jak gdyby otworzył się na innych, czy też raczej wynurzył ze swej cichej samotności. Kontakt z nim, z początku trudny, stał się później samą przyjemnością.

- Oby Bóg uczynił tę zmianę trwałą. Gdy zobaczyła go pani Harris, to aż poweselała na twarzy.

Wieczorem przy obiedzie doktor Ian Frenais wysłuchał z zainteresowaniem szczegółowego sprawozdania z wycieczki nad morze, po czym powiedział:

- Muszę się wam przyznać, że również miałem dobry dzień.

- To znaczy?- zapytała Dorothy.

- Zakończyliśmy wreszcie generalny remont oddziału. - Spojrzał na córkę, która wniosła kawę i rozstawiała właśnie filiżanki. - A może byś wpadła i obejrzała sobie nasze cudowne urządzenia, Susy?

Jeżeli ja akurat nie będę miał czasu, to zaopiekuje się tobą ktoś inny.

Susy szybko pojęła, kto krył się za tym mało precyzyjnym określeniem. Przebiegł ją gwałtowny dreszcz.

- Dziękuję, tato, lecz to naprawdę nie ma najmniejszego sensu...

Rodzice wymienili spojrzenia, po czym ojciec rzekł z łagodnym uśmiechem:

- Po prostu wypowiedziałem myśl, która przemknęła mi przez głowę.

Trzy dni później Susy jechała golfem matki do St Helier po weki do agrestowego dżemu, których, okazało się, nie było w wiejskim sklepie. Prowadzenie samochodu zawsze sprawiało jej przyjemność. Niegdyś sama była dumną posiadaczką wozu. Ale Patrick, na co dzień mający do czynienia z irlandzkim terroryzmem, namówił ją do sprzedania go; tak było po prostu bezpieczniej. Teraz zaś, trzymając dłonie na kierownicy, a stopę na pedale gazu, czuła wesołe ożywienie. Umykały do tyłu bujne żywopłoty i osłonecznione fasady domów. Przez opuszczone okno wpadało do wnętrza pachnące latem powietrze. Ruch na szosie gęstniał w miarę zbliżania się do miasta. Zaparkowawszy wóz w pobliżu centrum na dość pustawym placu, Susy zaczęła wędrowkę po sklepach. Starła się nie zauważać młodych par, manifestujących swoje uczucia splecionymi dłońmi. Nie zazdrościła im szczęścia, tylko opłakiwała utratę własnego.

Kupiła słoiki, olejek do opalania i - w irracjonalnym porywie, gdyż dom i ogród tonęły wręcz w kwiatach - bukiet złocistych gerber dla matki.

Wróciwszy na rozległy parking, bezradnie opuściła ręce. Plac przez minioną godzinę zapełnił się samochodami, a wśród nich, jak na złość, przeważały czerwone golfy. Czy w ogóle uda się jej odszukać samochód matki?

- Wyglądasz jak zagubiona w lesie dziewczynka - usłyszała za plecami jakiś znajomy głos.

Gwałtownie odwróciła się. Zmierzał ku niej uśmiechnięty Ross Beaumaris. W dzinsach i koszulce polo wyglądał dużo młodziej. Faktycznie mógł mieć trzydzieści trzy, najwyżej trzydzieści pięć lat.

- Cześć! I tak mniej więcej się czuję. Ten parking godzinę temu był prawie pusty.

Ross błysnął białymi, równymi zębami. Jego pewność siebie miała wagę głazu w porównaniu do puchu jej lęków i wahań. W instynktownym odruchu samoobrony odrzuciła do tyłu głowę.

- W takim razie podam biednej Susy pomocną dłoń i zaciągnę ją na kawę. Do czego zresztą upoważnia mnie fakt, że zostaliśmy już przedstawieni sobie nad miską agrestu.

- Zgadza się. A co do kawy, to chętnie przyjmę zaproszenie.

Skęcili w wąską uliczkę, wybrukowaną kocimi łbami. Ruch kołowy był tu zabroniony. Gdzieś grał akordeon, z balkonów zwisały pelargonie. Usiedli przy stoliku pod parasolem. Ross zamówił kawę.

- Mam nadzieję - rzekł, gdy kelnerka odeszła - że nie gniewasz się na mnie za to bezpardonowe używanie twojego imienia?

- Bynajmniej. Ja od tej pory mówię Ross i jesteśmy kwita.

- No to mamy za sobą ten kłopot. Czas bliżej się poznać.

- Ojciec często mi mówił o tobie. Znam cię więc lepiej, niż przypuszczasz.

- I o to właśnie chodzi! Chcę być dla ciebie jak otwarta książka.

Kelnerka przyniosła kawę. Susy prawie natychmiast sięgnęła po swoją filiżankę.

- Wiesz, Ross, wolę utrzymywać znajomości przy zachowaniu pewnego dystansu, a więc również przy niepełnej wiedzy.

W co ona właściwie się pakowała? Mówiła o dystansie, a równocześnie w głębi duszy czuła radość, że siedzi z tym mężczyzną w tak urokliwym miejskim zakątku. Wiedziała, że sprzeniewierza się pamięci o Patricku, gorzej, zdradza swego ukochanego. Czy jeszcze w ogóle nadawała się do prowadzenia swobodnej pogawędki, gdzie liczy się przede wszystkim humor, cięta riposta, umiejętność operowania dwuznacznością? Kiedyś, owszem, celowała w tego rodzaju zwiewnych flirtach. Dziś jednak była wypalona od środka.

- Susy, czy dobrze się czujesz? Jesteś taka blada. A może powiedziałem coś nie tak?

Patrzył na nią badawczo, a ona uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie, wszystko w porządku. Jednak muszę już iść.

- Dlaczego? Za ledwie napoczęłaś swoją kawę. - Zaciął usta. - Nie możesz mi tego zrobić!

Odpowiedź, jakiej udzieliła, potwierdzała tylko, że była samym pogorzeliem.

- Przykro mi, Ross, ale mama potrzebuje tych słoików.

Wypełniała ją pragnienie ucieczki. Chciała jak najszybciej schronić się do swego cichego azylu, gdzie kontaktowała się z duchem Patricka. Wiedziała, że

Ross mówi coś do niej, gdyż jego wargi poruszały się, ale nie rozumiała słów.

- Wybacz, ale czy mógłbyś powtórzyć? Zamyśliłam się.

- Och, nic ważnego. Po prostu pomyślałem sobie, że skoro już jesteś w mieście, to może wpadłabyś do nas na oddział.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Zaskoczyło ją to zaproszenie. Czyż jej ojciec nie wystąpił z identyczną propozycją? Ale jej ojciec znał wszystkie okoliczności. Jego intencja była prosta. Zamierzał wpłynąć na nią, aby zmieniła swoją decyzję o porzuceniu pracy. Ross natomiast zapraszał ją do szpitala z czystej uprzejmości. Wiedział tylko, że jest z zawodu pielęgniarką, i zakładał, że innowacje przeprowadzone na oddziale mogą ją zainteresować. Jego zaproszenie nie wiązało się więc z żadną presją.

Kiwnęła głową. Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dlaczego nie? Z góry zakładałam, że ujrzę same wspianałości.

Ross zdziwił się, nie po raz pierwszy zresztą. Ta dziewczyna wymykała się wszelkiej definicji. Była samą zmiennością. Oscylowała pomiędzy światłem a cieniem. To gasła, to znów zapalała się, niczym lampa podczas burzy, kiedy wiatr targa drutami wysokiego napięcia. Za tym wszystkim można było wyczuć jakiś dramat, może nawet tragedię. W każdym razie jej naturalna spontaniczność i radość życia zostały na skutek jakichś smutnych wydarzeń zdławione i zepchnięte gdzieś na obrzeża osobowości.

Wrócili na parking i, jak było do przewidzenia, odnaleźli wóz bez większego trudu. Szare BMW Rossa stało kilkanaście metrów dalej. On ruszył pierwszy, Susy zaś podążyła za nim.

W St Helier wszędzie było blisko, więc już po kilku minutach wjechali na dziedziniec miejskiego szpitala, nowoczesnej kompozycji trzech brył z czerwonej cegły. Na oddziale pediatrycznym jeszcze kręcili się robotnicy, zajęci ostatnimi retuszami.

- Witamy w naszych skromnych progach - rzekł Ross z teatralnym ukłonem, po czym szybko wszedł w rolę kompetentnego przewodnika.

Susy, mimo najlepszych chęci, nie mogła skupić się na jego słowach. Czuła ogromne napięcie i pulsowanie krwi w skroniach. Ciepła fala ogarnęła jej ciało. Zdała sobie sprawę z ogromnego przywiązania do swego zawodu. Pamięć przywołała dziesiątki nie przespanych nocy, twarze pacjentów, witających ją ufnym uśmiechem, skomplikowane operacje, w których uczestniczyła. A równocześnie jakiś głos szeptał do ucha, że tamto nieodwołalnie się skończyło, gdyż nie potrafiłaby sprostać teraz tak trudnym zadaniom... Słowa Rossa docierały do niej jak gdyby zza tej zasłony, utkanej z lęku, niepewności i namiętnego pragnienia.

- A tutaj mamy salę telewizyjną dla starszych dzieci...

- Susy! Susy Frenais!

Zanim jednak Susy rozpoznała ów kobiecy głos, już się znalazła w objęciach przyjaciółki.

- Julia! Ależ niespodzianka! Pięknie wyglądasz. Julia Fonet była nie tylko urodziwą młodą kobietą, lecz nadto promieniała radością i szczęściem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie doktorze - zwróciła się do Rossa ale nie widziałyśmy się od momentu, gdy razem odbywałyśmy tutaj praktykę. A więc pełne trzy lata.

Ross uśmiechnął się wyrozumiale.

- To macie, widzę, spore zaległości w plotkowaniu.

- Ażebyś wiedział, Ross - przyznała Susy wesołym głosem. - Może wpadniesz do mnie, Julio? Zadzwoń do ciebie i umówimy się, dobrze?

Julia przyjęła propozycję z niekłamany entuzjazmem.

- Bajecznie! Tylko nie zapomnij! A teraz znikam, byś mogła dokończyć zwiedzanie tej naszej świątyni. Do zobaczenia!

Porównanie szpitalnego oddziału ze świątynią należało, oczywiście, złożyć na karb żartobliwej ironii, niemniej wszystko, co Susy ogarniała wzrokiem, naprawdę zasługiwało na zachwyt. W każdym drobiazgu widać było troskę o dobro i zdrowie dzieci.

- Jestem oczarowana, Ross. Teraz rozumiem, dlaczego mój tata odmłodził o dziesięć lat i chodzi z głową w chmurach.

- Wszystkim nam się udziela ten nastrój.

Susy zamyśliła się. Inni mieli swoje pasje, ona zaś tylko swą nieutuloną rozpacz.

Ross zauważył jej smutek. Zamilkł z obawy, czy to przypadkiem nie on go wywołał jakimś nieostrożnym słowem. Tak, powinien bardziej uważać na to, co mówi. Z natury był otwarty i szczerzy, czasami szczerzy aż do bólu. Szczerłość nie zawsze popłaca. Przykład: jego nieudane małżeństwo zakończone rozwodem. Kobiętę zresztą trudniej zrozumieć niż mężczyznę. Teraz on, Ross, sto razy się zastanowi, zanim zainteresuje się jakąś na serio.

- Mam wrażenie, jakby cię coś gnębiło, Susy. Ale pamiętaj, jesteś na urlopie!

- Nawet na urlopiach towarzyszą nam nasze kłopoty, Ross.

- Zgoda, ale jutro będzie lepiej - zapewnił ją jowialnie.

- Chyba... tak.

- A teraz odsuńmy w kąt nasze problemy. Czy nie żałujesz, że dałaś się tu przyprowadzić?

- Przeciwnie. Jestem zachwycona.

Zagląдали do coraz to innych sal i pomieszczeń. Tu był pokój do zabaw, a tam supernowocześnie i antyseptycznie urządzone kuchnia. Sala

gimnastyczna sąsiadowała z salą fizykoterapii, wyposażoną w takie cudenka, jak bicze wodne czy niemal kosmicznie wyglądające wyciągi. Widne i schludne po^koje z łózkami czekały już na młodych pacjentów. W każdym wisały na ścianach barwne reprodukcje z filmów rysunkowych, przyrodniczych i historycznych.

Ross komentował wszystko z ogromnym przejęciem. Widać było, że dzieciom i ich zdrowiu oddany jest bez reszty. Nagle spojrzął na zegarek.

- Do licha! Jak ten; czas leci! Przykro mi, ale musimy się rozstać, Susy. Skoro jednak już tu jesteś, to może chciałabyś zobaczyć się z ojcem?

- Zobaczę się z nim przy obiedzie. Byłeś wspaniałym przewodnikiem, Ross.

Uśmiechnął się. Ta dziewczyna, sądząc z uwag, jakie od czasu do czasu rzucała, też musiała być dobra w swojej dziedzinie. Po prostu miał do czynienia z profesjonalistką.

- Dzięki za komplement. Zaglądam tu czasami. Wyszli z budynku i udali się na parking. Gdy zaś

Ross ze staromodną kurtuzją otworzył przed nią drzwi samochodu, zauważyła niewielką bliznę na jego policzku, tuż pod zuchwą. Odczytała to jak świadectwo, że Ross, podobnie jak każdy człowiek na tym świecie, jest podatny na ciosy. Fakt ten uczynił go w jej oczach bardziej ludzkim i bliskim.

- Życzę powodzenia w realizacji planów. To na wypadek, gdybyśmy mieli już się nie zobaczyć.

Uniósł prawą brew.

- Mam nadzieję, że ten wypadek się nie wydarzy - odrzekł z nieodpartym czarem. - A co do twoich życzeń, to są osoby, takie na przykład jak twoja wspaniała matka, które zrobią wszystko, by rzecz się udała.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. - To mi przypomina, że moja wspaniała matka czeka na słoiki do dżemu.

Kiedy Susy wróciła do domu, Dorothy najpierw zakrzętała się wokół herbaty, a dopiero potem usiadła, by wysłuchać z ust córki sprawozdania.

- Naprawdę się cieszę, kochanie, że dałaś się tam zaprosić. Co sądzisz o tych wszystkich cudach techniki? Założę się, że będzie to najnowocześniejsze centrum pediatriczne w kraju.

- A ja nie przyjmę zakładu. Przy takim entuzjazmie i poświęceniu osób w to zaangażowanych rzecz musi się udać. - Na twarzy Susy malowało się ożywienie. - Ale, ale... Byłabym zapomniała. Zgadnij, kogo tam spotkałam? Julię Fonet. Czy ją pamiętasz?

- Ależ oczywiście. Przyjaciółka z praktyki. - Zadzwoń do niej i umówimy się na dłuższą pogawędkę. Chyba nic nie wie o Patricku i moich ostatnich przejściach, bo wtedy ona i John byli za granicą, a później przestałam pisać listy. Będzie więc o czym rozmawiać. - Głos Susy załamał się. Odchrząknęła i poderwała się z krzesła. - Wybacz, mamu, ale umówiona jestem z Robinem. Nie chciałabym go zawieść. Porozmawiamy dłużej wieczorem.

Na plaży żar lał się z nieba, lecz rześka bryza powodowała, że nie czuło się upału. Susy pchała przed sobą wózek z Robinem i rozglądała się za jakimś ustronnym miejscem. Fale lizały piasek, lekko pienilo się wokół sterzących z morza białawych skał.

Chłopiec zasypywał ją pytaniami. Niektóre były zabawne, inne zaskakujące. Widać było, że chce dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Nagle padło pytanie o wiek. Susy roześmiała się wiedząc, że dla sześciolatniego brzdąca nawet siedemnastka byłaby wiekiem mamucim.

- Robin, nie wścibiaj swego piegowatego noska w takie zawikłane sprawy.

Główka chłopca obróciła się jak na zawiasie.

- Ale ja muszę wiedzieć. Bo wczoraj bawiłem się z Sandrą w zgaduj-zgadulę.

- I kto wygrał?

- Ja, ponieważ powiedziałem, że tak naprawdę to niczego nie wiemy i że muszę wziąć cię na spytki. Sandra przyznała mi rację.

Susy pochwaliła w myślach Sandrę: jej praktyczność, opanowanie i rozsądek.

- A jeśli powiem ci, że mam dwadzieścia pięć lat, to czy wciąż będziesz chciał wypuszczać się ze mną na wycieczki?

Robin zwiesił główkę. Coś tam przez chwilę w milczeniu rozważał, po czym rzekł z powagą dorosłego:

- Wiek nie jest istotny. Przecież nadal jesteś ładna i potrafisz biegać.

Słyszając to, Susy zdecydowała się posunąć o krok dalej w ujawnianiu strasznej prawdy o przemijaniu.

- A więc w dzień moich najbliższych urodzin będę miała... No właśnie, ile?

- Dwadzieścia sześć! - padła błyskawiczna odpowiedź, mimo że Robin w obliczeniu posłużył się palcami. - A kiedy będziesz miała dwadzieścia siedem, to czy nadal będziesz miała dość sił, by zabierać mnie na przechadzki?

Susy wybuchnęła śmiechem.

- Mam nadzieję, kochanie. A teraz zobaczymy, co zjemy dziś na podwieczorek. Brzoskwinia, jabłko, dwa banany...

- Dziękuję, Susy, ale chyba ich nie zjem.

- Dlaczego? Przecież powiedziałaś, że przepadasz za owocami.

Chłopiec kichnął raz i drugi. Wytarł nos błękitną chusteczką.

- Sandra przeziębila się, a ja się od niej zaraziłem.

- Nie byłabym tego taka pewna. To może być po prostu katar sienny.

- A co to takiego?

- Widzisz, kwiaty, chwasty i trawy wydzielają pyłki, które wpadają do twoich dróg oddechowych i je drażnią.

- Ty wszystko wiesz, Susy. Nawet znasz się na chwastach i trawach. Czy zawsze będziesz zabierała mnie na te spacery?

- Gdy tylko będę mogła, Robin.

Chłopiec zamyślił się głęboko. Pomimo licznych prób, Susy już nie udało się nawiązać z nim rozmowy.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Widziała twarz Robina, wczuwała się w jego dojmującą samotność. Bez wątplenia mieli ze sobą wiele wspólnego. Tylko że ona bardziej pragnęła jego dobra i szczęścia niż swego.

Pod koniec tygodnia Susy zaprosiła na obiad Julię i jej męża. Rodzice poszli do znajomych na brydża, więc sama musiała zakasać rękawy i stanąć przy kuchni. Kiedy wszystko już było gotowe, zadzwonił telefon. Poznała głos Rossa.

- Cześć. Co byś powiedziała na propozycję wybrania się ze mną na obiad?

- Ogromnie mi przykro, Ross, ale...

W głosie Rossa zabrzmiała teatralna rozpacz.

- Susy, wbijas mi sztylet w serce. Czy to oznacza, że nie czujesz ani cienia sympatii do swego przewodnika?

Roześmiała się.

- Skądże znowu. Po prostu oczekuję na obiedzie Julii i jej męża. A może dołączyłbyś do nas? - Słowa te wypłynęły z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać.

- Cóż, ciekawa propozycja. Nie jestem tylko pewien, czy wyrobię się na czas, ale będę się starał zjawić przynajmniej przed deserem.

- Resztę dań przechowam dla ciebie w szybkowarach.

- A więc do zobaczenia.

Susy odłożyła słuchawkę i poszła na górę wykapać się i przebrać. Przez cały czas nurtowało ją pytanie, czy ta rozmowa z Rossem w ogóle miała miejsce. Wypełniający ją do tej pory podskórny lęk gdzieś się ulotnił.

Cieszyła się na myśl o wizycie Rossa. Ostatecznie był przyjacielem rodziny. A i John nie będzie się czuł jak ten kołek w płocie, kiedy ona i Julia zaczną roztrząsać swoje babskie sprawy.

Goście przybyli prawie równocześnie. Julia i John nie zdążyli jeszcze na dobre napocząć drinków i rozwinąć tematu swoich licznych podróży, kiedy w drzwiach stanął Ross. Wyglądał bardzo szycownie w swym srebrzystym wieczorowym garniturze. Wręczył Susy butelkę burgunda, przepraszając, jeśli jego wybór okazał się nietrafny, po czym dołączył do towarzystwa.

Popłynęła ożywiona rozmowa.

Po obiedzie przeszli na taras na kawę.

- Co sądzisz, John, o szpitalach w Egipcie? - zapytał Ross, swobodnie zarzucając rękę na oparcie trzcinowego fotela.

John poprawił okulary i uśmiechnął się.

- Stary przyjacielu, gdybym chciał wyczerpać ten temat, zajęłoby mi to całą noc. Powiem więc tylko, że pracują tam wspaniali lekarze. Lecz, szczerze mówiąc, toczą bitwę z góry przegraną.

Kiedy panowie rozmawiali, panie zajęły się sprzątaniami ze stołu. I w tym momencie zadzwonił telefon.

- To do ciebie, Ross - powiedziała Susy, oddając słuchawkę asystentowi ojca.

Przyjął ją z dość kwaśną miną.

- Tak, rozumiem. Będę tam. Wyjeżdżam natychmiast.

Ross nie tłumaczył, kto go wzywał i w jakim celu, tylko przeprosił Susy i pożegnawszy towarzystwo opuścił dom.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, również Julia i John zaczęli się żegnać. John tłumaczył, że jutrzejszy dzień zaczyna się dla niego wyjątkowo wcześniej. Julia strofowała go trochę, że tak się pieści ze sobą, lecz okazało się, że sama również musi zjawić się w szpitalu o siódmej.

- Że też wybrałyśmy, Susy, właśnie ten zawód - westchnęła. - Czy nie kusi cię czasami, by powiesić' fartuch na kołku, cisnąć czepek w kąt i już nigdy ich nie wkładać?

Jaka szkoda, pomyślała Susy, że nie są teraz same, nie siedzą w fotelach i nie mają przed sobą przynajmniej dwóch godzin na swobodną rozmowę.

- Wiele się wydarzyło w ciągu minionych dwóch lat w moim życiu, Julio. Muszę przyznać, że ostatnio rozważam taką ewentualność.

Po twarzy Julii przemknął cień niepokoju, jakby za tymi słowami ujrzała ciemną otchłań.

- Wiesz, jutro mam wolne całe popołudnie. Może wpadłabyś do szpitala, a później gdzieś się wybierzemy?

Umówiły się na drugą.

Kiedy Julia i John pożegnali się, Susy zebrała ze stołu resztę naczyń, przypasała fartuch i wzięła się za zmywanie. Myślała o minionym wieczorze, tak miłym, a jednak w jakimś sensie pustym, gdyż nie padło w ciągu tych kilku godzin ani jedno ważne słowo.

Mimo wszystko zauważyła, iż dokonała się w niej pewna przemiana. Rozmawiając z przyjaciółmi o sprawach związanych z ich pracą, odkryła w sobie poczucie przynależności do „bractwa”. Perspektywa podjęcia pracy w szpitalu nie wydawała się już tak absurdalna i raz na zawsze przekreślona.

Następnego dnia, tuż po śniadaniu, Susy zadzwoniła do sierocińca uprzedzając, że zamierza zabrać Robina na kilka godzin. Niestety, okazało się to niemożliwe.

- Bardzo mi przykro, panno Frenais - powiedziała dyrektorka - ale Robin chyba nabawił się grypy. Nie jestem jeszcze tego całkowicie pewna, niemniej zdecydowałam się potrzymać go w łóżku. Nasz doktor przepisał mu słaby antybiotyk.

- Czy wobec tego mogłabym go odwiedzić?

- Szczerze odradzałabym tę wizytę. Po co niepotrzebnie narażać swoje zdrowie. Pod koniec tygodnia Robin, mam nadzieję, będzie już na tyle zdrowy, że kontakt z nim nie będzie się wiązał z możliwością przykrych konsekwencji.

Tego popołudnia Susy i Julia spotkały się w małym lokaliku w pobliżu szpitala, który był niegdyś zaciszną kafejką, teraz zaś stał się lodziarnią nawiedzaną przez chmary dzieciaków.

- Wiesz - powiedział Julia - a może byśmy tak przeniosły się do szpitalnego bufetu, gdzie kawa jest może trochę gorsza, ale przynajmniej znajdziemy tam ciszę i spokój?

Susy zawahała się. Czuła w tej chwili działanie dwóch sprzecznych sił. Coś ją ciągnęło do ludzi w białych kitlach, a równocześnie dzieliła ją od nich bariera panicznego lęku.

Julia jednak nie czekała na jej odpowiedź, tylko paplała dalej:

- Ale w pierwszym rzędzie musisz mi opowiedzieć wszystko od początku. Bo kiedy poznałaś tego wspaniałego chłopaka w mundurze, jakbyś zapadła się pod ziemię.

Susy wzięła głęboki oddech, niczym pływak przed skokiem ze skały do wzburzonego morza. Spojrzała w szare oczy przyjaciółki.

- Liczę, Julio, na twoją dyskrecję. Trudno mi o tym mówić i nie chciałabym, żeby moje prywatne sprawy stały się tajemnicą poliszynela.

Julia natychmiast spoważniała.

- Czyż nie znamy się dostatecznie długo, abyś mogła mi zaufać?

- Oczywiście. Przepraszam. Nie powinnam była zaczynać od takich zastrzeżeń. Otóż, pomiędzy mną a Patrickiem wszystko układało się cudownie. Kochaliśmy się i zdecydowaliśmy się pobrać. Doświadczalam czegoś, co potocznie nazywa się pełnią szczęścia. Moje szczęście było do tego stopnia niezmacone, że aż zaczęłam bać się o trwałość tych chwil. Bywało, że nawiedzały mnie różne straszne myśli. I... stało się. Odmienił moje życie samochód-pułapka. Wybuch, sekunda huk i ognia i... straciłam Patricka na zawsze.

Głos Susy załamał się. W oczach zabłyśły łzy. Julia pochyliła się i delikatnie pogładziła ją po dłoni.

- Jakże mi przykro, moja ty biedulo. O niczym nie miałam pojęcia.

Do lokaliku wpadła kolejna grupa spragnionych lodów dzieciaków.

Susy zdobyła się na uśmiech.

- Wiesz, ten twój pomysł z bufetem przyszpitalnym można chyba raz jeszcze rozważyć.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Bufet dla personelu okazał się pusty. Staranny wystrój wnętrza utrzymany był w różach i ciemnych zieleniach. W rogu dużej sali stała biblioteka, zaś wnęka rozmiarów średniego pokoju spełniała rolę kącika telewizyjnego.

Gdy tylko zdjęty z tac kupioną przy barze herbatę i usiadły przy stoliku, Julia nawiązała do przerwanej tematu rozmowy.

- Wyobrażam sobie, jaki to dla ciebie musiał być cios. Gdybym wiedziała, jaką przeszedłaś tragedię, nie zawracalibyśmy ci głowy wczorajszą wizytą.

- Nie bądź niemądra, Julio. Wieczór z wami sprawił mi ogromną przyjemność. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się normalnie.

- Naprawdę?

- Mówię to z ręką na sercu. Zapomnij zresztą, że masz do czynienia z osobą, która przebyła bardzo ciężką chorobę i powoli wraca do zdrowia.

Julia upiła łyk z białej filiżanki.

- A dlaczego by nie przyspieszyć tego procesu przez podjęcie pracy?

Z twarzy Susy znikło ożywienie.

- Czuję się jeszcze zbyt słaba psychicznie, by stawić czoło tak dużej odpowiedzialności. Sama wiesz zresztą, jak to jest z nami, pielęgniarkami. Musimy najpierw czuć się pewnie w swym fachu, żeby wykonywać dobrze swą pracę. To wewnętrzne przekonanie, ta wiara w siebie wiele znaczą. Tymczasem jest we mnie więcej wahań i wątpliwości niż pewności siebie, a nie mogę, nie wolno mi ryzykować.

- Czy już mówiłaś to komuś?

- Tylko rodzicom. Przed innymi ludźmi nie byłam dotąd w stanie się otworzyć.

- Wspaniale, że uczyniłaś ten pierwszy krok. Podzielenie się z drugą osobą swym smutkiem i bólem to najlepsza terapia* Ale teraz podziel się ze mną czymś, co ci sprawia przyjemność. Słyszałam o jakichś dzieciach z sierocińca...

Oczy Susy zabłyśły.

- Tak. Bez wyjątku kaleki. Urocze dzieciaczyny. Moja matka, natchniona społeczniczka, wzięła je pod swoją opiekę. Szczególnie polubiłam pewnego chłopca, a i on do mnie przyłgnał. Nazywa się Robin Masters i jest sześciolatkiem. Żywe srebro, kochany diabełek. Chciałby mieć prawdziwy dom i prawdziwą mamusię. Rozmawia ze mną na bardzo poważne tematy zupełnie jak dorosły.

- Czy ma przyjaciół wśród swoich rówieśników? - zapytała Julia z zamyśleniem w oczach.

- Tak. Jego najbliższa przyjaciółka ma na imię Sandra. Są niemal nierozłączni. W ogóle dostrzegam w tym chłopcu, czasem ponurym i zamkniętym, głęboką potrzebę miłości.

- Kto wie, czy nie jesteś mu w takim samym stopniu potrzebna, jak on tobie.

Susy uśmiechnęła się.

- Tak czy inaczej, dobrze nam ze sobą. A poza tym mam jakieś konkretne zajęcia.

- A jak to się stało, że wpadłaś w oko Rossowi Beaumaris? - spytała nagle Julia z typową dla siebie bezpośredniością.

Susy poczuła, że oblewa się potem.

- Julio, doprawdy, nic się nie zmieniłaś. Wciąż ci w głowie swaty...

I obie przyjaciółki wróciły w rozmowie do dawnych, dobrych lat, kiedy adorowane były przez przystojnych chłopców, w których mogły przebierać jak w ulegawkach.

- To były piękne dni - westchnęła Julia, cytując mimowolnie tytuł głośnego przeboju Armstronga.

- Jak poznałaś Johna? - zapytała Susy.

- Podjął pracę w szpitalu na oddziale położniczym zaraz po tym, jak ty wyjechałaś do Belfastu. Pewnego razu zaproponował mi grę w badminton. Zgodziłam się, a on odkrył we mnie niezastąpioną partnerkę. Drań! Czerpał przyjemność z rywalizacji z kimś, kto ustępował mu o klasę.

Wybuchnęły śmiechem. W tym momencie popłynął z głośnika nieco kostyczny kobiecy głos:

- Siostra Fonet! Siostra Fonet proszona jest do recepcji do telefonu.

- Jasny gwint! - Julia rzuciła okiem na ścienny zegar i poderwała się z krzesła. - Założę się, że to John. Sądzi, że już zaczęłam pracę. Muszę lecieć, kochanie. - Ucisnęła Susy. - Zadzwoń najpóźniej pojutrze i znów się umówimy na małe spotkanko.

Susy została sama. Dopijając herbatę myślała o dawnych czasach, Belfaście i Patricku. Lecz jej samotność nie trwała długo. W barze pojawiła się grupa lekarzy i pielęgniarek. Co chwila dołączał ktoś nowy. Zapanował ożywiony gwar, przetykany śmiechami lub jakimś głośniejszym słowem. Susy stwierdziła, że miło jest czuć się częścią „bractwa”, choćby siedziało się samotnie na uboczu i w „cywilnym” ubraniu.

- No, no, kogóż my tu widzimy! Czyżby Susy Frenais we własnej osobie?!

Ross Beaumaris postawił tacę z herbatą na stoliku i zwrócił się do towarzyszącej mu pięknej dziewczyny w białym kitlu:

- Rebecca, poznaj córkę lana, Susy. Susy, to jest Rebecca Cohen.

- Miło panią poznać, panno Frenais - powiedziała zmysłowa, ciemnowłosa piękność lekko zachrypniętym głosem. - Na urlopie w domu?

Susy uśmiechnęła się promiennie. Kobięcy instynkt podpowiadał jej, że ma do czynienia z kotką, która już zdążyła wysunąć swoje pazurki.

- Sądzę, że bardziej w domu niż na urlopie.

W dużych, wyrazistych oczach pojawiły się ciemne ogniki.

- Chyba rozumiem, co chce pani przez to powiedzieć. A teraz zostawiam panią pod czułą opieką Rossa. Tylko proszę nie dać się zbałamucić. - Roześmiała się i dołączyła do kolegów w drugim kącie sali.

- Nie zwracaj na nią uwagi - rzekł Ross, przysiadając się do Susy. - Kiedy Rebecca ujrzy jakąś atrakcyjną kobietę, błyskawicznie nabywa cech kameleona, by nie powiedzieć... Zresztą mniejsza o nią. Czy przyszedł tu zobaczyć się z ojcem?

Susy opowiedziała mu o spotkaniu z Julią.

- Wyszła stąd przed kilkoma minutami. A co do ojca, to chyba na widzenie się z nim zabraknie mi czasu.

- Bo właśnie ja ci go kradnę w tej chwili.

- Skądże znowu. Powiedz lepiej, jak spędziłeś wczorajszy wieczór po pożegnaniu się z nami.

- Cóż, złożyłem wizytę pewnemu młodemu pacjentowi, a później tu, w szpitalu, musiałem szczegółowo przebadać dwóch chłopców, których operowałem w tym tygodniu. Dzisiaj po pracy zamierzałem zadzwonić do ciebie, by wytłumaczyć to wcześniejsze wyjście.

- Ależ naprawdę nie musiałeś.

- Po prostu dobrze mi było z wami i czułem się zobowiązany.

Zmienili temat. Nagle Susy wstała i oświadczyła, że musi wracać do domu.

W istocie czuła potrzebę ucieczki stąd. Był to bowiem świat, od którego dzieliła ją gruba szyba, świat skoncentrowany na własnym rytmie i własnych problemach. Niegdyś ona, Susy, była jego integralną częścią, ale zły los skazał ją na banicję.

- A więc, gdy tylko zechcesz nas odwiedzić - rzekł Ross, odprowadzając ją aż na parking - będziesz tu mile widziana. Chociaż nie zapomniałem twoich słów, że jesteś tu bardziej w domu niż na urlopie.

Susy roześmiała się.

- To był tylko żart. Po prostu cudownie jest wrócić do rodzinnego domu i znów smakować w takich zwykłych rzeczach, jak krochmalenie bielizny czy podlewanie kwiatów.

- A co byś powiedziała na propozycję, żebyśmy dzisiaj wspólnie posmakowali coś w restauracji? Możemy gawędzić o sprawach fachowych, lecz z miłą chęcią wysłucham też jakiejś ciekawej historii z Belfastu.

Poczuła skurcz serca.

- Obawiam się, że cokolwiek bym powiedziała, w niczym nie będzie się różnić od tych relacji, które znasz z gazet czy telewizji.

- Przemawia przez ciebie skromność, Susy. Zresztą przekonajmy się. Wpadnę po ciebie o siódmej. Jeśli ty będziesz milczała jak grób, opowiem ci coś o sobie.

Słowa te kompletnie ją rozbroiły.

- Cóż, skoro tak stawiasz sprawy, to do siódmej.

Tego wieczoru pojechali nadmorską promenadą do La Rocque, lokalu stanowiącego artystyczne połączenie oranżerii z restauracją. Mimo że nieco się ochłodziło, Susy włożyła białą bawełnianą sukienkę. Należała ona do wyprawy ślubnej i zgodnie z podjętym po śmierci Patricka postanowieniem miała nie być nigdy noszona. Wyglądało na to, że w jej nowej sytuacji życiowej nastąpił zasadniczy przełom.

W pewnym momencie, kiedy pili drinki, Susy uchwyciła spojrzenie Rossa. Kryło się w nim tyle nie postawionych jeszcze pytań, że pod ich ciężarem spuściła oczy.

- Susy, jest pewna sprawa, która mnie nurtuje. Z jednej strony zdajesz się lubić swój zawód, z drugiej zaś coś cię od niego odciąga. Może to być, oczywiście, mylne wrażenie. Ostatecznie wy, kobiety, wspaniale potraficie się chować za różnymi dymnymi zasłonami.

Przełknęła ślinę. Złoty łańcuszek na jej szyi załśnił w łagodnym świetle lampy.

- Ross, twoja ostatnia uwaga świadczy o cynicznym stosunku do płci przeciwnej.

- Sprytnie potrafisz zmieniać temat. Ale masz rację. Kto przeszedł przez piekło rozvodu, ten siłą rzeczy staje się cynicznym szowinistą.

- Bardzo mi przykro.

- Nic takiego. W dniu, kiedy się rozwiodłem, poczułem, że wyrosły mi skrzydła.

Na stole pojawiło się pierwsze zamówione danie. Sięgnęli po sztucce. Ross zaczął bawić Susy anegdotami z życia zawodowego medyków. Dziewczyna uśmiechała się, chichotała, chwilami nawet śmiała do łez.

- Wiesz - powiedział Ross w pewnej chwili - niejednokrotnie miałem okazję przekonać się, że śmiech ma moc uzdrawiającą.

- Zgadzam się całkowicie. I w wielu wypadkach jest lepszy od pigulek i zastrzyków.

- Wyobrażam sobie, że bez poczucia humoru nie byłoby można wytrzymać w Belfaście.

- Tak. Nieraz spotykałam się w szpitalu z przypadkami zadziwiającego hartu ducha i optymizmu.

- A co z twym własnym męstwem i hartem?

Pytanie podziało niczym uderzenie pałką. Przecież nie mogła powiedzieć mu o Patricku. Pomiędzy Rossem a Julią była bądź co bądź pewna zasadnicza różnica. Mówiąc mu całą prawdę, odsłaniając przed nim cały bezmiar swojego nieszczęścia, poczułaby się prawie naga.

Wbiła oczy w pokryty różowym obrusem blat stołu i wyszeptwała:

- Na pewno nie jestem z żelaza. Pochylił się i dotknął ręką jej dłoni.

- Kilka tygodni temu usłyszałem z ust twojego ojca, że zerwałaś zaręczyny. Nie podał żadnych szczegółów, ale wydawał się bardzo tym przejęty. Teraz zjechałaś do domu, żeby kurować się w atmosferze spokoju i miłości rodziców. Znaczy to, że byłaś faktycznie jak wysadzona z siodła. Nic dziwnego. Naprawdę potrzebujesz dużo hartu i męstwa, we mnie zaś zawsze znajdziesz oddanego ci przyjaciela. A co do litości i współczucia, to powiem krótko. Przeznaczone jest nam w tym życiu przechodzić raz przez ogień, a raz przez kwitnące ogrody.

Podziękowała w myślach ojcu, że spełnił jej prośbę i okazał się skrajnie lakoniczny co do tych „zerwanych” zaręczyn. Formalnie rzecz biorąc, zaręczyny faktycznie zostały zerwane, nieodwołalnie i na zawsze. Ojciec rozumiał, że Susy nie życzy sobie współczucia osób postronnych. Ross zaś należał do ludzi, którzy nie cisną innych pytaniami i była mu za to bardzo wdzięczna.

Westchnęła.

- Zdumiewające, ileż człowiek może znieść, gdy dojdzie do decydującej próby. Myślę również o tobie, Ross. Musiałeś doświadczyć całej męki straconych złudzeń i zawiedzionych nadziei.

Kiwnął głową z gorzkim uśmiechem na twarzy.

- To prawda. Kłopot z moją żoną polegał na tym, że nigdy z dziewczynki nie przemieniła się w kobietę. Była jedynaczką, rozpieszczoną córeczką bogatego bankiera, wdowca. Każda zachcianka Miriam była zaspokajana. Nawet po naszym ślubie, jeśli nie mogłem spełnić jakiegoś jej kaprysu, czynił to mój teść. Ten nadmiar opiekuńczości obrócił się w końcu

przeciwko mnie. Uświadomiłem sobie, że mam za żonę osobę leniwą duchowo i fizycznie, infantylną i oczekującą od życia samych przyjemności. Doszło do tego, że stanowczo sprzeciwiła się posiadaniu dzieci. To było najbardziej gorzkie rozczarowanie w moim życiu. W głębi serca nie była zła, tylko zepsuta przez zbyt pobłażliwego ojca, który nie odmawiał jej niczego. Wreszcie sama sobie nie była zdolna niczego odmówić. Pojawili się kochankowie. Wtedy powiedziałem „dość”.

- Tak, to musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie, Ross. A gdzie się poznaliście?

- Oboje należeliśmy do tutejszego jachtklubu. Oczarowała mnie swoją urodą. Charakter i duszę poznamy później.

- Czy nadal się widujecie?

- Sporadycznie. Wciąż mieszka w naszym domu na wyspie, który dostaliśmy w prezencie ślubnym od jej ojca. Odnosimy się do siebie grzecznie, jak przystało na kulturalnych ludzi. Na pierwszy rzut oka ktoś mógłby powiedzieć, że jesteśmy parą bliskich przyjaciół. Ostatecznie współżycie z Miriam nauczyło mnie pewnej rzeczy.

- Mianowicie?

- Że na widok dziewczyny, która ma bogatego, oszalałego na jej punkcie tatusia, trzeba uciekać możliwie najdalej.

Susy uśmiechnęła się. W małżeńskiej historii Rossa krył się pewien tragiczny paradoks. On, bez reszty oddany innym ludziom, napotkał kobietę, która z myślą o własnym wygodnictwie nie chciała nawet dać mu dzieci.

- Nie mamy wszystkich kart w ręku. A nawet te, które trzymamy, niekiedy wypadają nam z dłoni.

- Masz rację. Uważam, że im usilniej próbujemy pokierować naszymi sprawami, tym bardziej stają się one skomplikowane.

Susy wpatrywała się przez chwilę niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń sali restauracyjnej.

- Życie mogłoby być dużo prostsze. Rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu.

- A ja chyba wiem, dlaczego tak nie jest. Kiedy bowiem mężczyzna spotyka taką wrażliwą i piękną dziewczynę jak ty, od razu ślepnie i nawet nie zauważa, gdy wpada w małżeńskie sidła.

Parsknęła śmiechem.

- Oto cały Ross. Cyniczny żartowniś.

Wstał i zaproponował przejście na kawę do sąsiedniej salki. Usiedli w fotelach z plecionej trzciny wśród kwiatów i egzotycznych roślin. Potoczyła

się niezobowiązująca rozmowa o książkach, muzyce, teatrze i o wielkich pasjach podróżniczych.

Susy westchnęła.

- Od dawna marzę o długiej podróży dookoła świata. Nie wyobrażam sobie niczego wspanialszego.

Ross uniósł prawą brew.

- To mi przypomina o czymś wręcz przeciwnym.

- Zamieniam się w słuch.

Zamierzasz powrócić do wykonywania swojego zawodu? Uciekła w bok ze spojrzeniem.

- Jeszcze nie myślałam o tym na serio, ale prędze czy później będę musiała podjąć decyzję.

- Słyszałem, że zajmujesz się jakimiś dziećmi z sierocińca.

- Ściśle mówiąc, tylko jednym.

- Jak się nazywa? Poznałem większość z nich.

- Robin... Robin Masters. W ostatnich dniach ni widzieliśmy się, ponieważ zachorował na grypę. Roz mawialiśmy tylko przez telefon. To mi przypomina, że muszę do niego zadzwonić. Stęskniłam się za tym szkrabem.

- Wiem, o kogo chodzi. To musi być ten rudzielec z piegami.

Poczuła w sercu ciepłe wzruszenie.

- Dokładnie tak. Trudno go zresztą inaczej opisać

- Właśnie u niego byłem wczoraj wieczorem.

- Dyrektorka powiedziała mi, że wezwano lekarza ale nie wymieniła nazwiska. A więc masz go pod swoją opieką?

- Zgadza się. Wybieram się tam jutro. - Uśmiechnął się, a Susy znów zauważyła małą bliznę ni jego brodzie. Ich oczy spotkały się. - Ale dość o pacjentach i ich chorobach. Porozmawiajmy lepiej o tobie.

Susy, dziwiąc się samej sobie, zaczęła opowiada o Belfaście i swojej pracy na oddziale nagłych wypadków. Opisywała straszne rany, zadane niewinnym przechodniom przez rozrywające się bomby, oraz skomplikowane operacje. Wspomniała o nieludzkim napięciu, w jakim pracował personel lekarski... W jej wilgotnych brązowych oczach płonęło jakieś wewnętrzne tajemnicze światło. Oprócz tego odbijało się również wieczorne niebo, pełne czerwonych i różowo-fioletowych poblasków.

W końcu z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Jak na jedno spotkanie, chyba dość powiedziałam o sobie. W ogóle straszliwie się rozgadałam. Myślę, że to dzisiejsze spotkanie z Julią otworzyło wszystkie zamki, na które byłam zamknięta.

- Ja w każdym razie jestem bardzo zobowiązany. Dopiero wysłuchawszy ciebie, mam pojęcie o tragedii miasta i całego kraju. Dzwonił dziś do mnie mój dobry przyjaciel i kolega po fachu, Amerykanin włoskiego pochodzenia, sprzedając mnie o swoim przyjeździe. Spędził jakiś czas w Belfaście i byłby szczęśliwy, gdyby mógł cię poznać. Zrobił ogromnie dużo dla ofiar wojen i głodu w Trzecim Świecie, szczególnie dzieci. Pod każdym względem wspaniały chłop. Na pewno będzie ci bardzo wdzięczny za najświeższe wieści z Irlandii Północnej.

Nerwowo pokręciła głową. W jej oczach pojawił się strach. Był to strach przed rozmową z obcym o sprawach tak boleśnie ją dotyczących. Już i tak powiedziała Rossowi zbyt dużo. Zagalopowała się, ale on tak wspaniale potrafił słuchać...

Chyba czytał w jej myślach, bo dotknął jej ramienia opiekuńczym gestem.

- Susy, proszę, nie bój się niczego. Naprawdę nie musisz spotykać się z nim, jeśli tego nie chcesz. Lepiej nie wywoływać duchów przeszłości. - Nagle przerwał, zaniepokojony zmianą, jaka zaszła na jej twarzy. - Co się stało? Tak strasznie zbladłaś. Wybacz mi. Pewnie palnąłem jakieś głupstwo...

Oddychała szybko. W jej uszach wciąż dźwięczało słowo „duchy”, które tak łatwo kojarzyło się z „grobami” i „śmiercią”. Usłyszała też głos księdza O'Hary, który ochrzcił ją na początku jej życia, a potem miał udzielić ślubu jej i Patrickowi: „Patrie! i ty, moje dziecko, zaznaliście wielkiej i prawdziwej miłości. Niewielu jest to dane na tym ziemskim padole. Dlatego, lejąc łzy, nie wyzbywaj się ufności i otuchy. Zatrzymaj swego ukochanego w skarbnicy swego serca i wyrusz odważnie w drogę, którą dla ciebie Bóg nakreślił w swych niezbadanych planach”.

- Ross, wybacz mi moje zachowanie. Ludzie znoszą stokroć gorsze utrapienia. Oczywiście, że spotkane się z twoim przyjacielem. Szczególnie, jeśli pomoże mi to w pracy, której, jak mówisz, bez reszty się poświęcił

W oczach Rossa malowało się współczucie.

- Jesteś wspaniała, Susy. Dziękuję za obietnica i dochodzę do wniosku, że niejednego pobiliaby: męstwem i hartem ducha.

Zamówili jeszcze po jednej kawie. Popijając, rozmawiali o przyjaciółach i znajomych. Ross wspomniała o swoim wuju w Nowej Zelandii, który miał tan farmę.

- A co mi powiesz o swoich rodzicach?

- Niestety, oboje nie żyją. Mój ojciec był chirurgiem, i to całkiem dobrym. Umarł przekroczywszy zaledwie czterdziestkę. Niedługo później

odeszła za nim moja matka. Bardzo się kochali. Stanowili wzór małżeńskiego współżycia. Wariowali na moim punkcie, a ja uznawałem to za rzecz naturalną. Lecz równocześnie pilnowali, żeby nie przewróciło mi się w głowie. Słowem, dali mi cudowne wychowanie. Gdy będę kiedyś miał syna, spożytkuję wobec niego całą mądrość dziadków. Nigdy nie byłem zepsutym bachorem. Moi rodzice żądali ode mnie, bym od najwcześniejszych lat uczył się stać o własnych siłach.

Susy wiedziała już, że Ross jest człowiekiem o żelaznej woli. Do tej pory dostrzegała w nim raczej pedanta.

- Twoich i moich rodziców wiele łączy. Mnóstwo im zawdzięczamy, co najłatwiej sobie uświadomić, myśląc o sierotach, na przykład takich jak Robin.

W ciemnoniebieskich oczach Rossa błąkały się radosne iskierki, nie pozbawione jednak odrobiny ironii. Susy wiele by dała, żeby dowiedzieć się, co faktycznie czuje i myśli w tej chwili asystent jej ojca.

- Mam nadzieję - powiedziała, dotykając machinalnie swojego kolczyka - że ten wieczór nie był dla ciebie szczytem nudy.

- Wprost przeciwnie - odparł, opadając na oparcie trzcinowego fotela. - Uważam go za bardzo udany. Oboje potrzebowaliśmy tej rozmowy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Susy i Ross wyszli z restauracji, niebo usiane już było gwiazdami. Susy czuła się odprężona i przyjmowała swój stan jako coś zupełnie nowego i bardzo przyjemnego. Czuła się też otwarta na świat i innych ludzi. A wszystko to sprawił ten wspólnie spędzony wieczór.

Gdy zatrzymali się przed jej domem i Ross wyłączył silnik, w nocnej ciszy dobiegło ich gruchanie gołębi, okupujących drzewa ogrodu.

- Czy wstąpisz na chwilę, Ross? - zapytała, czując dziwne napięcie, jakie nagle wytworzyło się między nimi.

- Dziękuję, Susy, lecz odłóżmy to na kiedy indziej. Teraz potrzebujesz wypoczynku. Muszę dbać o twoją kondycję, skoro chcę, by taki wieczór powtórzył się już niebawem.

- Dlaczego nie? Mam mnóstwo czasu i lubię odwiedzać lokale z dobrą kuchnią - odparła z na poły ironicznym, na poły bolesnym uśmiechem na twarzy.

Wdychał zapach jej perfum i nagle zdał sobie sprawę, że oto siedzi przy bardzo atrakcyjnej młodej kobiecie, stworzonej dla szczęścia i miłości, która nosi w sobie jakąś głęboko ukrytą ranę. Żyje terazniejszością jedynie niewielką częścią swej osobowości, podczas gdy całą resztę pochłaniają mroki przeszłości. Pragnął poznać jej tajemnicę, rozjaśnić cień, który przesłaniał pełnię. Nie znał jednak sposobu, by dotrzeć do jej duszy. Najprostszym rozwiązaniem byłoby jej szczere wyznanie.

- Wiem, Susy, że coś cię dręczy. Gdybyś więc doszła do wniosku, że Ross Beaumaris nadaje się na powiernika, to będę bardzo zobowiązany. Kto wie, może nawet będę w stanie ci pomóc.

Dotknęła jego dłoni.

- Dziękuję, Ross. Doceniam twoją życzliwość, ale... ale ze mną jest wszystko w porządku.

- W takim razie kamień spadł mi z serca. Lubię, jak się uśmiechasz. Powinnaś robić to jak najczęściej.

Wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwiczki i podał rękę. Pożegnali się przyjacielskim uściskiem dłoni.

Leżąc już w łóżku i wiedząc, że sen szybko nie nadejdzie, Susy pozwoliła swobodnie płynąć myślom. Myślała o swoim pierwszym miłosnym zadurzeniu, o Patricku i o Rossie. Robiła jakby bilans swojego serca. Miłość do Patricka przyćmiewała wszystkie inne uczuciowe doznania. Była miłością absolutną i wszechogarniającą. Przy niej wszystkie poprzednie zakochania wydawały się tylko kaprysem zmysłów i fantazji.

A teraz Ross Beaumaris. Dlaczego właśnie on? Otóż dlatego, że budził w niej niepokój jakże często towarzyszący miłosnej fascynacji. Ale przecież nie kochała Rossa. Ona nawet go nie знаła! Musiało więc być tak, że ten niepokój sygnalizował bardziej jej rozpaczliwą potrzebę ogrzania się uśmiechem i przyjaźnią drugiego człowieka niż zapowiedź kolejnej miłosnej przygody. Targnęły nią wyrzuty sumienia. Jak w ogóle mogła takimi myślami sprzeniewierzać się pamięci Patricka!

Rankiem obudził ją telefon. Nie otwierając oczu, sięgnęła po słuchawkę.

- Tak, Susy Frenais...

Męski głos po tamtej stronie otrzeźwił ją w jednej chwili.

- Susy! Ross Beaumaris. Wybacz, że wyrywam cię z rozkosznych objęć Morfeusza, ale obiecałem, że będę kontaktował się z tobą na bieżąco w sprawie Robina.

Co? O tak wczesnej porze? Odgarnęła z twarzy promień włosów.

- Słucham, Ross.

- Obawiam się, że nie jest najlepiej. Nasz piegusek złapał szczególnie rodzaj wirusa, który atakuje gardło i może przerzucić się również na płuca. Dlatego zabieram go na oddział pediatryczny. Chcę mieć go pod stałą obserwacją.

- Czy ma gorączkę?

- Tak, ale o szczegółach porozmawiamy później. Twój ojciec zaraz tu będzie. Najpierw musimy gruntownie przebadać naszego chłopaczka.

- Rozumiem. Dzięki, że zadzwoniłeś. Czy jest nadzieja, że będę mogła zobaczyć się z nim w najbliższym czasie?

- Jasne. Ale na razie pozwólmy działać lekarstwu.

- W porządku. Raz jeszcze dziękuję...

Nagle zabrakło jej słów. Poczowała się dziwnie skrępowana. Jak gdyby Ross na odległość oddziaływał na nią swoją fizyczną obecnością. Na szczęście on sam nie dzielił z nią tych doznań, gdyż jego głos był trzeźwy i opanowany:

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczona po naszym wczorajszym paplarskim maratonie?

Roześmiała się.

- Skądże znowu! Podziałał na mnie raczej odświeżająco.

- To fajnie! Teraz muszę kończyć. Będę w kontakcie. Cześć.

Powolnym ruchem odłożyła słuchawkę. Głos Rossa wciąż dźwięczał w jej uchu. Widziała jego uśmiechniętą twarz, jakby stał tuż obok łóżka. Podciągnęła pod brodę kolana, opłótła je ramionami i na dobry kwadrans zapadła w głębokie zamyślenie;

Tego dnia przez kilka godzin pomagała matce w ogródku. Oczyszczając z chwastów i spulchniając rabaty, myślała o Robinie. On był w tej chwili dla niej najważniejszą osobą.

W porze lunchu wpadł do domu ojciec.

- Te dzieci, jak wiesz - zauważył pod koniec swej szczegółowej relacji - są bardzo podatne na wszelkiego rodzaju wirusy. Ross odwalił kawał dobrej roboty i przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny pozostaje nam tylko czekać.

Ojciec odjechał. Susy pozostała sama ze swym niepokojem o chłopca. Wiedziała, że jest w dobrych rękach, ale dręczyło ją wspomnienie wyrazu jego oczu. Wypisana w nich głęboka samotność zdawała się świadczyć, że ten sześciolatek brzdąc nie tylko odgrodził się od świata wysoką barierą, ale że ma też zamiar bronić własnej izolacji.

Teraz, leżąc w szpitalu, był jeszcze bardziej biedny i bezbronny. A do tego ta wysoka gorączka, która dręczy koszmarnymi snami i osłabia cały organizm.

Zapadł wieczór. Zegar wybił ósmą. Ojciec nie wracał, nie było też telefonu od Rossa. Susy powoli traciła cierpliwość. Długo krążyła wokół aparatu, a gdy uparcie milczał, położyła dłoń na słuchawce. Dokładnie w tej samej chwili telefon ożył.

Rozpoznała głos ojca.

- Posłuchaj, kochanie. Niestety, nie mam pocieszających wieści. Mimo naszych starań, doszło do płucnej infekcji. Wysoka gorączka utrzymuje się i chłopiec majaczy. Wymienia twoje imię. Gdybyś więc zechciała tu przyjechać, na pewno przyniosłabyś mu swą obecnością wielką ulgę. Ross ma się zjawić za jakieś pół godziny i z pewnością zgodzi się z moją decyzją ściągnięcia cię tutaj.

- Tato, aleja nie jestem pewna, czy... - Wiedziała, że nie wolno jej się wahać.

- Susy, nie proszę cię, żebyś nagle weszła w rolę pielęgniarki, tylko żebyś nie zabraniała sobie pójść za odruchem serca. I tym samym pomogła dziecku, które najwyraźniej darzy cię wielką sympatią.

- Nawet nie musisz mi o tym wszystkim mówić, tato. Po prostu pomyślałam, że jako osoba z zewnątrz, niemal intruz, mogę spotkać się ze sprzeciwem...

- Przyjmuję na siebie wszelkie ewentualne sprzeciwy.

- W takim razie już pędzę.

Susy naprawdę pędziła, przekraczając chwilami dozwoloną prędkość. Pierwszą osobą, na którą się natknęła na korytarzu oddziału pediatrycznego

okazała się panna Margaret Aldridge, wszechwładna przełożona pielęgniarek. Pomimo swych czterdziestu lat wyglądała jeszcze dość młodo i zachowała zgrabną figurę. Jej krótkie orzechowe włosy okalały twarz o delikatnych rysach. Powitała Susy miłym uśmiechem.

- Panna Frenais! Witamy na oddziale! Oczekiwaliśmy tu pani. Cieszymy się, że zdecydowała się pani nam pomóc. Mam nadzieję, że nie będzie to dla pani zbyt duży kłopot.

Susy odwzajemniła uśmiech, po czym głęboko odetchnęła.

- Przyszłam, żeby pomóc Robinowi zwalczyć tego okropnego wirusa. I proszę mówić do mnie Susy.

- Na pewno wam się uda, Susy. A teraz zapraszam do pokoju pielęgniarek. Dam ci fartuch.

Na sali intensywnej terapii leżał mały chłopiec. Miał zamknięte oczy. Piegi na jego nosku kontrastowały z bladą cerą. Zlepione potem włosy koloru miedzi zakrywały czoło. Dolną część twarzy również miał zasłoniętą. Oddychał przez maskę tlenową.

- Niedawno dostał zastrzyk na pobudzenie krążenia. - W oczach panny Aldridge malował się niepokój.

Susy delikatnie dotknęła złożonej na kocyku rozpalonej dłoni malca. W tym samym momencie wszedł jej ojciec.

- Susy, dobrze, że jesteś. - Sięgnął po kartę choroby. - Na oko lekka poprawa. - Spojrzał na pannę Aldridge, jakby oczekując z jej strony potwierdzenia.

- Mam wrażenie, że trochę spokojniej oddycha.

- Tak. Teraz wracam do domu. Niebawem zjawi się tu Ross. Przejmuje pełną opiekę nad chłopcem. Jeżeli jednak będę potrzebny, wezwijcie mnie. - Pożegnał się z córką uśmiechem i wyszedł w towarzystwie panny Aldridge.

Susy została sama. Drażnił ją i trochę przerażał cichy syk pompowanego powietrza. Wzięła do ręki leżące na stoliku notatki. Zastanowiła ją szybkość, z jaką choroba zawładnęła chłopcem. Zaczęło się od grypy, która w błyskawicznym tempie przemieniła się w atak astmy albo zapalenie płuc. Bądź obie te choroby naraz.

Nagle wyczuła w pokoju obecność kogoś trzeciego. Uniosła wzrok. Po drugiej stronie łóżka stał Ross. Pozdrowił ją kiwnięciem głowy.

Przez chwilę patrzyli w milczeniu na leżącego chłopca.

- Zdaje się, że Robin zapadł w płytki sen - powiedziała:

- Gzy mogę rzucić okiem na notatki twego ojca?

- Ton jego głosu pasował bardziej do rozkazu niż prośby. W taki mniej więcej sposób lekarz zwraca się do pielęgniarki.

Podczas gdy Ross studiował zapiski, Susy przypatrywała się rozpalonej twarzy Robina. Odgarnęła włosy z jego spoconego czoła.

- Obecnie najważniejszą rzeczą jest ustalić rodzaj przeszkody, która tamuje i ogranicza przepływ powietrza. To może być tylko bronchit, a nie zapalenie płuc.

- Pomiędzy ciemnymi brwiami Rossa pojawiła się pionowa zmarszczka. - Ale z braku książeczki zdrowia dziecka trudno nam będzie stwierdzić, czy miał już jakieś kłopoty z płucami i w ogóle z układem oddechowym.

- A może to te nasze ostatnie wycieczki i łączące się z nimi stany podniecenia stworzyły podatny grunt dla rozwinięcia się choroby? - zastanawiała się Susy.

Ross potrząsnął głową.

- Nie sposób w tej chwili cokolwiek rozstrzygnąć. W każdym razie twoja tu obecność już odnosi pozytywne skutki. Robin nie rzuca się i ma prawie regularny oddech.

Przez chwilę jeszcze badał puls chłopca, po czym odszedł do innych pacjentów, Susy zaś czuwała przy Robinie, z krótką przerwą na kolację, aż do północy. Zresztą nie była świadoma upływu czasu, nie czuła też zmęczenia. Siedziała zamyślona, jakby w transie. Nawet nie usłyszała, kiedy otworzyły się drzwi. Wrócił Ross. Miał potargane włosy i pobladłą, prawie poszarzałą twarz.

- Przepraszam, że nie mogłem zajrzeć tu wcześniej

- rzekł ściszym głosem. - Mieliśmy ciężką operację dziecka, ofiary wypadku. I obawiam się, że żadnych nadziei na przeżycie. - Przejechał dłonią po włosach.

- Boże, co za tragedia. Rodzice odchodzą od zmysłów.

- Czy mogłabym się na coś przydać? - zapytała Susy zapominając, że nie znajduje się tutaj z tytułu pracy zawodowej.

- Nie teraz. Dziękuję. Przyjechali właśnie dziadkowie, a poza tym jest tam panna Aldridge. Chociaż, przyznaję, mamy na dyżurze tylko dwie młode pielęgniarki. - Uśmiechnął się pod nosem. - Ale jak zawsze, tak i teraz poradzimy sobie.

Susy jednak, ku własnemu zdumieniu, odważnie zaproponowała swoją pomoc.

- Myślę, że każdy człowiek zasługuje na sen, więc ty również. Zdaje się zresztą, że bardzo go potrzebujesz. Mogę tu zostać do pojawienia się dziennej zmiany. O ile, oczywiście, jestem potrzebna.

Uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dzięki. Jestem pewien, że panna Aldridge będzie zachwycona ofertą. - Rzucił okiem na śpiącego chłopca. - Wiesz, powiadomię siostrę przełożoną, a ty tymczasem skocz do baru i fundnij sobie kawę z kanapką.

Susy dyżurowała przy chłopcu do szóstej rano. Mierzyła mu puls i gorączkę oraz robiła w regularnych odstępach zastrzyki z hydrocortisonu. Około czwartej przeżyła chwilę grozy, gdyż Robin zaczął jęczeć i rzucać się niespokojnie.

- Susy... Susy... - wołał ją cichym, zbolalym głosem, który dla jej uszu brzmiał niczym przejmujący sygnał karetki pogotowia.

- Jestem z tobą, Robin - powiedziała, gładząc go po dłoniach i włosach. - Teraz śpisz sobie smacznie, by raniem obudzić się wesoły i zdrowy.

- Czy wybierzemy się... na plażę?

- Tak, gdy tylko poczujesz się lepiej.

- Zabawy... - Głos dziecka osłabł i rozpląnął się w śnie, niczym mgła w słońcu.

- Tak, kochanie - wyszeptwała. - Mnóstwo gier i zabaw.

Kiedy nastał dzień, ze stanu fizycznego i duchowego odrętwienia wyrwał ją miły głos:

- Dzień dobry, panno Frenais!

Uśmiechała się do niej młoda pielęgniarka, w której Susy rozpoznała przyjaciółkę Julii. Trzymała w ręku kubek z herbatą.

- Dzień dobry. Bardzo dziękuję. Napiję się z przyjemnością.

- Przysłała mnie tutaj panna Aldridge. Powiedziała, że chce pani jak najprędzej wracać do domu.

- Ta herbata smakuje jak nektar. Cóż, muszę przyznać, że stęskniłam się za swoim łóżkiem.

- Widzę, że w ciągu nocy gorączka chłopcu znacznie spadła.

- Tak. Przy odrobinie szczęścia unikniemy zapalenia płuc. Ale lepiej odpukać.

- Biedne maleństwo. Był wczoraj naprawdę w złym stanie. Ale doktor Beaumaris przebadał go bardzo starannie. Właściwie nie wiem, co byśmy bez niego zrobili. Jest tutaj w dzień i w nocy, na każde zawołanie. Prawdziwy Anioł Stróż „swoich” dzieci.

Jadąc w czystym porannym słońcu do domu, Susy czuła się lekka i prawie wesoła, jakby ogromne brzemię spadło jej z ramion. Robin uniknął najgorszego, a poza tym przez blisko dwanaście godzin przebywała i funkcjonowała w świecie, który znała i kochała. Opuściła boczną szybę w samochodzie i pozwoliła chłodnemu strumieniowi świeżego powietrza, żeby targał jej włosy i smagał twarz. W dole, u podnóża klifów złościła się wstęga

plaży. I nagle Susy zaśpiewała, dając upust swej wielkiej radości. Ciemny tunel żałoby i cierpienia wreszcie się skończył i oto widziała niebo i skały, i morze, i rozległy, cudowny horyzont. Zniknęła również bolesna tęsknota za Patrickiem. Dwanaście godzin zupełnej i całkowitej wolności! Czy uda się jej zamienić je w dni, tygodnie i lata całkiem nowego życia?

Podczas śniadania rozmowa toczyła się oczywiście wokół Robina. Ale brak snu dał znać o sobie. Powieki same opadały.

Obudziła się dopiero późnym popołudniem. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca wdzierają się do sypialni przez szpary w zasłonach. Susy słuchała przez chwilę domowych odgłosów. W kuchni grało radio. W holu Bill i Ben, dwa pocieszne spaniele, baraszkowały ze sobą. W ogródku buczała kosiarka do trawy. W sumie taka sobie zwyczajna, domowa rzeczywistość, której jednak biedny, mały Robin nigdy nie doświadczył sercem i zmysłami. Dorothy wspomniała kiedyś o możliwości adopcji dzieci z sierocińca. I teraz przez serce Susy przepłynęła fala pragnienia posiadania rudego pieguska.

Poderwała się z łóżka i pobiegła do łazienki Odkręcała na przemian to zimną, to znów gorącą wodę prysznicą, aż wreszcie jej serce się uspokoiło. Wycierała się właśnie szorstkim ręcznikiem, kiedy zadzwonił telefon.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

To był Ross.

- Bynajmniej. Już się obudziłam - odparła, rozczesując grzebieniem mokre włosy.

- Przed wszystkim chciałbym podziękować ci za tę noc przy Robinie. Kto wie, czy twoja obecność nie okazała się bardziej skuteczna od zastrzyków i lekarstw. Nastąpiło znaczne polepszenie.

- Cieszę się, Ross. Czuję wielką ulgę. Myślę, że potrzebował wsparcia w zwalczaniu choroby.

- To również moje zdanie... Hmm... Wybieram się dzisiaj w interesach do Londynu. Muszę również odebrać z lotniska Heathrow tego Amerykanina, o którym ci wspomniałem. Prawdopodobnie zajmie mi to wszystko dwa dni. W związku z tym chciałbym zapytać, czy mogłabyś znów wpaść do szpitala i spędzić jakiś czas przy Robinie? Będiesz poza tym miała okazję poznać lepiej personel oraz...

- Dzięki, Ross - przerwała mu, czując przyływ paniki. - Dla Robina zrobię wszystko.

- Wspaniale! Ale pamiętaj, że to twoja decyzja. Nie wywieramy żadnej presji. Co zaś się tyczy opieki nad chłopcem, to pozostawiam ci wolną rękę.

Panna Aldridge zostanie uprzedzona. A więc do zobaczenia po moim powrocie.

Rozłączyli się. Susy kończyła czesać włosy. Oczywiście, że Ross nie wywierał żadnej presji, nie mógł zresztą wywierać, a przecież równocześnie jego słowa działały niczym nakaz, któremu trudno się oprzeć. Czyżby chcieli zarzucić na nią sieci i zmusić do powrotu do pracy w szpitalu? Wzruszyła ramionami. Tak czy inaczej, to ona będzie musiała podjąć ostateczną decyzję.

Panna Aldridge powitała Susy swym zwykłym, miłym i życzliwym uśmiechem.

- Stan zdrowia Robina powoli, ale nieprzerwanie polepsza się. Jeśli ta tendencja się utrzyma, niebawem przeniesiemy go do zwykłej sali, gdzie będzie miał towarzyszy. Dla ciebie zaś, Susy, mam propozycję. Jak wiesz, nie skompletowaliśmy jeszcze całego personelu i bardzo byś się nam przydała. Doceniamy twoją wiedzę i praktykę zawodową. Mówię to też częściowo z myślą o Robinie. Lepiej, żeby nie uważał, że jesteś tu tylko dla niego. Dzieci lubią wykorzystywać takie sytuacje...

Susy niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Hmm... cóż... ja...

Panna Aldridge delikatnie wybawiła ją z tego jąkania:

- Oczywiście, nie traktuj tego, kochanie, jako jakiegoś dyktatu z mej strony. Wszystko, o co proszę, to żebyś każdego dnia uprzedzała mnie, czy nazajutrz będziesz mogła się zjawić. Co zaś się tyczy liczby godzin i pory dnia, pozostawiam ci pełną wolność wyboru.

Susy poczuła nagły przypływ wdzięczności za ten dowód zaufania ze strony siostry przełożonej. W jednej chwili Wyzwoliła się ze wszystkich oporów i lęków. Uśmiechnęła się i przyjęła propozycję.

Następnego ranka Robin miał tylko stan podgorączkowy i lekko zaróżowioną twarzyczkę. Susy czytała mu bajki, karmiła łyżką, myła i czesała. Ograniczyła też na własną odpowiedzialność dawki lekarstw.

Chłopiec milczał, wodząc tylko za nią oczami. Odezwał się dopiero po obiedzie, gdy poprawiała mu łóżko na popołudniową drzemkę.

- Susy, dlaczego nosisz ten śmieszny fartuch? Inne pielęgniarki są inaczej ubrane.

- Ponieważ jestem tu tylko gościem.

- A czy byłabyś tu na stałe, gdybyś nosiła błękitną spódnicę i marynarkę?

- Nie sądzę, kochanie. - Roześmiała się. - To zależałoby od doktora Rossa. A teraz przyłóżysz główkę do poduszki, ja zaś przeczytam ci bajkę.

- OK, tylko kiedy będę mógł bawić się z innymi dziećmi?

- Już wkrótce. O terminie zdecydują panna Aldridge i doktor Ross.
- Doktora Rossa nie ma - odrzekł chłopiec z naburmuszoną miną, jakby gniewał się na niego za tę nieobecność.
- Ale niebawem wróci. A teraz zaśnij. Ja zaś obiecuję, że na podwieczorek będzie niespodzianka.
- Na pewno nie taka, jak u cioci Dorothy. Susy westchnęła i położyła dłonie na biodrach.
- Robinie Masters, mówisz i zachowujesz się jak Zrzęda, jeden z Siedmiu Krasnoludków.

Chłopiec mimowolnie zachichotał, lecz został przy ostatnim słowie:

- Ja nie noszę długiej, białej brody.

Uparty, choć kochany krasnal wreszcie zasnął i Susy mogła przejść do pokoju pielęgniarek, żeby zrobić sobie herbatę. Czekać, aż woda się zagotuje, myślała o Rossie i jego amerykańskim przyjacielu. Ciekawa była tego człowieka. Miała tylko nadzieję, że Amerykanin nie będzie żądał od niej danych; statystycznych na temat życia dzieci w Belfaście. Cóż ona zresztą wiedziała? Tam, w Irlandii Północnej, dzieliła czas pomiędzy miłość i wyteżoną pracę w szpitalu.

Wspomnienie Patricka niesło ze sobą rzewny smutek. Wyrwał ją z tego stanu dzwonek telefonu.

- Dzień dobry, pani Harris. - Susy poznała po głosie dyrektorę sierocińca. - Niestety, doktor Ross wyjechał do Londynu. Jestem tu tylko z dwiema młodymi siostrami.

- Nie szkodzi, kochanie. Równie dobrze ty możesz mi coś powiedzieć o Robinie.

- Same dobre wieści, pani Harris. Najwyraźniej spieszno mu do tych wycieczek nad morze. Zdrowszy z każdą godziną.

- To cudownie. Słyszałam o twoim poświęceniu. Jestem bardzo wdzięczna. Dziękuję i do zobaczenia.

Minęły dwa dni. Tego popołudnia Susy zmieniała właśnie Robinowi pościel, kiedy dobiegły ją z korytarza męskie głosy. To mógł być Ross wraz z tym Amerykaninem. Tak, to na pewno był on. Poczwała radość pomieszana z lękiem. Jej serce przyśpieszyło swój rytm. Na policzki wystąpiły zdradliwe rumieńce. Na szczęście odwrócona była do drzwi plecami, co dawało jej możliwość ukrycia pierwszego wzruszenia. Ale słowa, które usłyszała, choć wypowiedziane zostały poufałym tonem, nie wyszły z ust Rossa.

- Rany! Skąd ja znam te piękne plecy! To musi być Susy! Pamiętasz mnie, ptaszyno?

Odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie straciła dzbanka z kompotem z szafki Robina.

Znalazła się twarzą w twarz z wysokim, przystojnym, uśmiechniętym mężczyzną.

- Marc! - wykrzyknęła przez ściśnięte gardło. - Och, Marc!

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie posiadała się ze zdumienia. Oto ścisnął jej dłonie człowiek, o którym tak często myślała. Prace wali wspólnie w Belfaście tylko dwa dni, ale były to bodaj najgorsze dwa dni w tym mieście, kiedy nie milkły syreny wozów strażackich i karetka pogotowia Zawiązana w takich warunkach przyjaźń może prze trwać całe życie. I dlatego on miał radość wypisaną na twarzy, a ona łzy w oczach.

- Marc! Kiedy Ross mi wspomniał o jakimś Amerykaninie, nie miałam zielonego pojęcia, że chodzi o ciebie.

- Wydaje mi się czasem, że świat nie jest dużo większy od naszej wysepki - wtrącił Ross z uśmiechem na twarzy i lekkim zakłopotaniem w oczach.

Marc roześmiał się. Czarne włosy i śniada cera zdradzały jego włoskie pochodzenie, ale poza tym był w każdym calu Amerykaninem. Chłopięcy, barczysty, spontaniczny i bezpośredni w gestach i słowach.

- Ross, poznałem Susy w dość dramatycznych okolicznościach. I nie bardzo wierzyłem, że się jeszcze spotkamy. Mimo to leciałem tutaj z mocnym postanowieniem odszukania jej. I oto sama się znalazła, prawie zastąpiła mi drogę. Och, chłopie, czyż to nie cudownie.

Susy patrzyła na Marca, równocześnie wyczuwając całą swoją osobą zakłopotanie Rossa.

- Ross, Marc pojawił się w naszym szpitalu w Belfaście akurat w dniu, gdy terroryści postanowili pokazać całą swą siłę i determinację. Rozpętało się prawdziwe piekło. Było mnóstwo zabitych i rannych.

- Boże, nigdy tego nie zapomnę - rzekł Marc. - Lekarze i pielęgniarki pracowali na okrągło przez dwie doby. Ja i Susy nie rozstawaliśmy się ani na moment, ale wolnego czasu mieliśmy tylko tyle, żeby poznać swoje imiona. Ross, jesteś szczęściarzem, mając na oddziale tę cudowną dziewczynę. Dałbym wiele, żeby pojechała ze mną do Stanów i pracowała dla mnie.

Susy zapłonęła się niczym róża.

- Marc, pamiętając ciebie z Belfastu, wiem, że miałabym wspaniałego szefa.

- Ty urocza komplementarce. Tak czy inaczej,, musimy uczcić nasze spotkanie wspólnym obiadem. Powiedzmy, jutro. Bo dzisiejszy wieczór przyrzekłem Rossowi na koleżeńskie pogaduszki przy butelce szkockiej. Więc jak, ptaszyno? Przyjadę po ciebie taksówką. A potem zaszyjemy się na kilka godzin w restauracji w moim hotelu. - Po raz kolejny błysnął w

uśmiechu zębami. - I najwyższy czas, żebyśmy wreszcie poznali nasze nazwiska. Adjani, Marc Adjani...

- Susy Frenais - powiedziała, starając się nie patrzeć na Rossa. Po czym dodała spontanicznie: - Dzięki, Marc. Będę jutro czekała.

Obaj mężczyźni odeszli, lecz długo jeszcze było słyhać tubalny, wesoły głos Marca, gdy Ross oprowadzał go po swoim królestwie.

Następnego dnia rano Susy wracała właśnie z laboratorium, gdzie zanosła do zbadania próbki krwi i moczu kilku małych pacjentów, kiedy dostrzegła w głównym holu Rossa Beaumaris. Rozmawiał pod oknem ze starszą koleżanką z neurologii, którą Susy знаła jedynie z widzenia.

Przemierzyła hol i miała właśnie wejść w drzwi obrotowe, gdy usłyszała za sobą głos Rossa:

- Susy, masz wolną minutkę?

Zatrzymała się, on zaś podszedł do niej szybkim krokiem.

- Cześć, Ross.

- Właśnie idę na oddział do Kevina Stannarda, czteroletniego brzdąca, któremu dziewięć dni temu operowałem szyję.

- Znam bardzo dobrze tego aniołka. Zdążyłam się już z nim zaprzyjaźnić - powiedziała, starając się: dotrzymać kroku Rossowi.

Gdy przechodzili przez pokój zabaw, powitały ich okrzyki i śmiechy dzieciarni.

- Niebawem zdejmę mu szwy, ale chciałbym, żebyś się przedtem zapoznała z tym interesującym przypadkiem.

Skrzyżowali na moment spojrzenia. Ross po raz kolejny miał okazję przekonać się, jak dalece obecną Susy nie przypomina tamtej zgaszonej dziewczyny którą poznał w domu jej rodziców. Odmieniła się wręcz nie do poznania. Prawdziwie rozkwitła.

- Mówimy przypadku – kontynuował – popularnie zwanym „postrzałem szyi”. Chodzi o skurcz pewnej grupy mięśni, co w rezultacie powoduje przechylenie głowy na jedną stronę. Całkiem często jest to skutkiem skrzywienia szyi jeszcze w łonie matki! Dzisiaj rozwiązuje się ten problem metodą chirurgiczną, ale sama chirurgia nie wystarcza. Po zagojeniu się rany następuje długi okres ćwiczeń i masaży.

- Czy zawsze taki przypadek kończy się sukcesem! To taki przemiły chłopaczek.

- A przede wszystkim pełen jakiejś wewnętrznej radości. - Stanęli przy łóżku Kevina. Ross rozpromienił się. - I jak się czuje nasz mały demon?

Kevin zagruchał jak gołąbek.

- Nie jestem żadnym demonem, prawda, Susy?

Jego główkę przyciskał do materaca biały zrolowany ręcznik, na którego końcach leżały woreczki z piaskiem. Od dziewięciu dni nie mógł ani wstawać, ani w ogóle wykonywać jakiegokolwiek ruchu. Leżał nieruchomo niczym drewniana kukiełka, myty i karmiony przez pielęgniarki. Jego rodzicom zabroniono wstępu na oddział.

Susy spojrzała na Rossa.

- No i co, doktorze Ross? Zmienimy swój stosunek do pacjenta?

Ross podrapał się w głowę.

- Dlaczego nie? Nazwijmy go w takim razie małym hultajem.

Kevin aż zapał z zachwyty.

- Doktorze Ross, a kiedy będę mógł wstawać?

- Niedługo, chłopie. O terminie porozmawiamy podczas wieczornego obchodu. - Kiwnął głową, po czym podszedł do dwóch gipsowych łóžeczek.

- Cześć, chłopaki! Czy uwierzycie, że wyleciały mi z głowy wasze imiona? Lecz chyba przypomnicie mi je?

- Ja jestem Barry - powiedział blondasek z burzą loków nad czołem i piwnymi oczami.

- A ja mam na imię Tom - wyśpiewał piskliwym głosikiem drugi chłopiec, dla odmiany czarny i niebieskooki.

- A teraz powiedzcie Susy, ile macie lat.

- Trzy! - wykrzyknęli jak na komendę.

- Wygodnie wam tu, chłopaki?

- Nie! - Kolejny zgodny okrzyk.

- Chyba trochę przesadzacie. Ale przyślę do was panią Wallis, aby pomasowała wam plecy i tyłeczki. Na razie! Trzymajcie się!

Gdy przeszli do pokoju lekarzy, Susy zapytała Rossa o prognozy dla Barry'ego i Toma.

- Jestem optymistą, ale obaj malcy wymagają długich lat fachowej i rozumnej opieki. - Spojrzał na zegarek. - Chyba muszę lecieć. Za pół godziny mam ważne spotkanie. Czy nie czujesz się zmęczona tym obchodem?

- Ani trochę - odparła wzruszona jego troską.

- Cieszę się, Susy. Mam dzisiaj, co prawda, napięty plan zajęć, ale postaram się jeszcze wpaść przed wieczorem.

Kiedy Ross odszedł, Susy udała się na oddział, by nakarmić te dzieci, które same nie mogły się obsłużyć. Tymczasem z lunchu wróciły obie praktykantki ze szkoły pielęgniarskiej, więc przekazawszy im swoje obowiązki, też poszła coś przekąsić.

Na korytarzu wpadła na pannę Aldridge.

- Miłe spotkanie, Susy. W ostatnich dniach byłam tak zajęta, że nawet nie miałam okazji spytać cię, jak sobie radzisz w pracy.

- Trudno to nazwać pracą. Raczej samą przyjemnością.

- Cieszę się. Wiem też, że doktor Beaumaris za żadne skarby nie chciałby cię stracić. Pamiętaj jednak o tym, co już ci powiedziałam. Jesteś tu wolontariuszką, która nie musi zapracowywać się na śmierć. Nie chcemy, by doktor Frenais myślał, że wykorzystujemy jego córkę.

- Nie ma obawy - odparła Susy, po czym każda poszła w swoją stronę.

W odremontowanym, lśniącym czystością obszernym barze Susy wybrała stolik przy samym oknie. Cokolwiek już zmęczone lato ustępowało miejsca jesieni. Słońce wydobywało z liści coraz więcej czerwieni i żółci. Pojedyncze listki spadały już na ziemię.

Susy przypomniała sobie, lecz tym razem bez bólu i smutku, podobny słoneczny dzień, kiedy ona i Patrick, trzymając się za ręce, spacerowali leśnym duktem. Wokół biegały wiewiórki, a szeleszczący barwny dywan z liści zdawał się być rozesłany specjalnie na ich cześć. Uśmiechnęła się pogodnie. Od pewnego czasu wspomnienia chwil minionego szczęścia wywoływały w niej ciepłe wzruszenie, nie zaś stany lękowe i łzy.

- Czy mogę się dosiąść? - Susy oderwała oczy od pejzażu za oknem. Przed nią stała Hilary Mason z interny, dość tęga kobieta o czarnych, kręcących się włosach i poważnej twarzy. - Susy Frenais, chyba się nie mylę?

- Nie, siadaj.

- Dziękuję. - Kobieta z hałasem odsunęła krzesło. - Taki tu młyn, że nawet nie miałam czasu cię poznać. Ale Julia mówiła mi o tobie. I jak ci tu leci?

- Lepiej nie mogłoby być. Wszyscy są tacy mili.

- Muszę się przyznać, że przysiadłam się do ciebie z całkiem egoistycznych powodów. Chodzi o naszego doktora Beaumaris. Godzinę temu powiedział mi, że na pewno dziś jeszcze wróci. Ale może zmienić plany i ty masz najświeższe informacje?

- Mnie też tylko wspomniał, że będzie się starał odwiedzić dzieciaki.

- Właściwie nic ważnego. Po prostu napomknął mi, bym została w pracy do jego dyspozycji. A ja nawet nie wiem, czy się pojawi. Zresztą na brak zajęć nie narzekam. Nikt tu nie narzeka.

Każdego dnia po lunchu następowała tak zwana cicha godzina, kiedy obowiązki wobec małych pacjentów były już spełnione, oni sami spali, a rodzice jeszcze nie przyszli ich odwiedzić. Na oddziale było więc cicho i spokojnie. Kto mógł, odpoczywał, a ponieważ Susy nie czuła się zmęczona, zajęła się porządkowaniem i uzupełnianiem kartoteki.

Aż podskoczyła na krzesło, gdy zobaczyła głowę Rossa w uchylonych drzwiach.

- Wracam wcześniej, niż myślałem, i od razu zaczynam od prośby. Rozmawiałem właśnie z Hilary, ale jest w tej chwili bardzo zajęta, a sam tego nie zrobię. Pomożesz mi?

- Jeśli tylko potrafię. - Zasunęła szufladę z kartoteką.

- Nie ma obawy. Zdejmujemy szwy Kevinowi. Susy spojrzała z niedowierzaniem w ciemnoniebieskie oczy Rossa.

- Wybacz, Ross, ale nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Powtórzył prośbę, ona zaś zamiast powiedzieć „tak” lub „nie”, swoim zwyczajem zaczęła się jękać.

- Przecież nie należę... nie należę... do personelu. To... to może być nawet .nieetyczne.

Wybuchnął szczerym śmiechem.

- Nie przejmuj się. Biorę za wszystko odpowiedzialność. - Uderzył się pięścią w mostek, jakby składał przysięgę, po czym zwrócił się do przechodzącej pielęgniarki: - Rosa, czy wózek z instrumentami jest już przygotowany? To dobrze. Przetocz go więc do łóżka Kevina. Będziemy tam za dwie minuty.

Susy opanowało odrętwienie. Szła na sztywnych nogach. Przypominała w tej chwili marionetkę poruszaną sznurkami. To, o co prosił Ross, wydawało się niemożliwe. Nagle znaleźli się przy Kevinie...

- Obiecałem, że będę, i jestem - powiedział do chłopca Ross. - Mamy dziś wielki dzień. Usuwamy ci szwy.

- Więc, czy mogę się podnieść?

- Wszystko w swoim czasie, hultaju. Najpierw pozbędziemy się szwów, a potem zobaczymy.

- Czy będzie bolało?

- Na pewno nie. Powiem ci na ucho, że Susy to prawdziwa czarodziejka. Cokolwiek robi, robi bezboleśnie.

Podczas gdy Ross uspokajał Kevina, dla Susy stawało się coraz bardziej oczywiste, że postawiono ją wobec zadania, które wymaga biegłości i opanowania. Opanowania przede wszystkim, uwzględniając tak długą przerwę. Słowa Rossa dochodziły do niej jakby zza ściany. Zachowując maksymalną ostrożność, usunęła z szyi chłopca opatrunek. Poczowała suchość w ustach, usłyszała łomot swego serca. Teraz wszystko zależało od zaufania we własne siły. Modliła się, żeby nie zdrząła jej dłoń. Wpatrywała się w węzełki chirurgicznych nici jak zahipnotyzowana. Nagle pole jej widzenia zaczęła zasnuwać różowa mgła. W pierwszym odruchu chciała odwrócić się

i uciec. Ale pełne dziecięcej ufności oczy Kevina przykuły ją do miejsca. Głęboko odetchnęła i spojrzała w bok. Rosa podawała jej na tacy szcypce i nożyczki. Widok chirurgicznych narzędzi, błyszczących i chłodnych, przypomniał jej Belfast, rozjaśnił w głowie, natchnął wiarą w siebie. Nagle wszystko stało się proste, dziecinnie proste.

Kilka zgrabnych ruchów i Susy z uśmiechem odrzuciła na tacę szcypce i nożyczki. Zdezynfekowała bliznę.

- Szwy zdjęte, Kevin. Chyba nie bolało, prawda?

- Nie, ale o tym, że nie będzie bolało, powiedział już doktor Ross - odparł Kevin z dziecięcą logiką. - Czy teraz mogę już wstać?

- Najpierw podwieczorek!

- Dobra robota, Susy - powiedział Ross na korytarzu. - Nawet siostra Mason nie zrobiłaby tego lepiej, ale nie mów jej tego.

Przez resztę dnia Susy chodziła jak uskrzydłona. Nic nie mogło jej zranić, dokuczyć czy zdenerwować, Przebaczyła losowi, że tak ciężko ją doświadczył.

Kiedy skończył się czas odwiedzin i rodzice pożegnali się ze swymi pociechami, Susy i Rosa udały się do Kevina, by towarzyszyć mu w pierwszych krokach po dziesięciu dniach nieruchomego leżenia. Na początek chłopiec okrążył tylko łóżko, co jednak było dla niego ogromnym przeżyciem. Z jego twarzyczki biła duma.

- A czy mogę również siadać i czytać książki, siostrzo? - zapytał, kiedy Susy okrywała go na powrót koczykiem.

- Oczywiście, że możesz - odparła, zakładając mu na szyję sztywny i wysoki kołnierz ortopedyczny. - A jutro wybierzemy się na nieco dłuższy spacer.

Nagle spojrzenie Kevina powędrowało w kierunku drzwi.

- Robin! Sie masz, chłopie! Dobrze, że jesteś! Susy odwróciła się. Przez szeroko otwarte drzwi na swym fotelu na kółkach wjeżdżał Robin Masters.

- Robin! Witamy. Świetnie dziś wyglądasz.

Faktycznie, zarumienione policzki Robina świadczyły o jego powrocie do zdrowia. Aż chciało się je całować.

- A czy ja również mogę zabrać się na spacer z Kevinem?

Robin usłyszał słowa, ale najwyraźniej nie uchwycił ich istoty. Nie miało to jednak większego znaczenia.

- Zobaczmy, co powie doktor Ross. A teraz, skoro już odwiedziłeś przyjaciela, zostań i porozmawiaj z nim przez chwilę.

Tego dnia Susy nie spotkała już Rossa. Ciekawa była, czy on pamięta, że na dziś wieczór umówiła się z Markiem na obiad.

Opuściwszy budynek szpitalny, spotkała na parkingu Julię, która właśnie przyjechała do pracy na nocną zmianę.

- Cześć! Jak leci, Julio?

- Nie narzekam, dziękuję. A kiedy słyszę, Susy, jak pięknie sobie radzisz, to rośnie mi serce, że mam tak dzielną przyjaciółkę, która ani myśli się poddawać.

Susy na chwilę zatrzymała wzrok na wierzchołku najbliższego drzewa.

- Praca bywa czasami najlepszą terapią.

Porozmawiały jeszcze przez chwilę, ale zaraz musiały się rozstać. Jedna śpieszyła się do domu, druga zaś do swoich obowiązków.

Hotel, w którym zatrzymał się Marc, stał przy głównej ulicy. Droższe pokoje i apartamenty oferowały widok na morze, natomiast z okien tańszych numerów, dostosowanych do kieszeni przeciętnego turysty, można było oglądać letnio-jesienny pejzaż wyspy. Restauracja zaliczała się do najlepszych w mieście.

Skończywszy posiłek, Susy i Marc na dobre pogрузyli się w rozmowie. W wazonie, pomiędzy nimi, stały świeże kremowe róże. Letni garnitur Marca, bez wątplenia szyty na miarę, był mniej więcej tego samego koloru.

- Wiesz, Susy - powiedział w pewnym momencie Marc - robimy tu sobie bilans minionych dwóch lat, ale nie powiedziałas mi jeszcze bodaj o najważniejszym. Pamiętam, że słyszałem wówczas w Belfaście o twoich zaręczynach. Czy nadal jest to aktualne? - Zawiesił pytający wzrok na pierścionku, który nosiła dość nietypowo, bo na złotym łańcuszku, blisko serca.

Susy czekała na to pytanie. I nawet ucieszyła się, że wreszcie padło.

- Wszystko skończone, Marc. To wydarzyło się w kilka miesięcy po twoim wyjeździe. Odtąd odmienił się mój świat. - Opowiedziała mu całą bolesną historię tego okresu. Marc słuchał w skupieniu. I nawet nie wiedziałaby, co myśli, gdyby nie jego pełne współczującej sympatii spojrzenie. - I tak wróciłam do domu rodziców - kończyła. - Nie na urlop, tylko w przekonaniu, że już nie nadaję się do pracy w służbie zdrowia.

- A dzisiaj też tak uważasz? - zapytał. Przeniosła na chwilę wzrok na pogrążający się w zmierzchu krajobraz za panoramicznym oknem restauracji.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Na pewno powoli się dźwigam z psychicznego dołka. Zaczynam czuć smaki, zapachy i zwykłą radość życia. Ale wciąż mam wrażenie, że grunt, po którym stąпам, lekko się ugina.

- Chyba nie muszę mówić, Susy, jak bardzo ci współczuję. Pocieszam się tylko myślą, że mimo wszystko spotkałem cię po tych dwóch latach właśnie w szpitalu.

- Cóż, jak wiesz, pracuje tam mój ojciec... Poza tym mój mały przyjaciel z domu dziecka ciężko zachorował i musiałam się nim zaopiekować... A wreszcie nie skompletowali jeszcze personelu i trochę się przydadę. Pomimo to znalazłam się tam jakby niezależnie od swojej woli. I już zdążyłam doświadczyć najgorszego. Braku pewności siebie. Braku zaufania we własne siły, biegłość i kompetencje.

Marc tym razem milczał. Zdawał się być myślami gdzieś bardzo daleko.

- Susy - powiedział nagle z ożywieniem na twarzy - rozmawiamy o prywatnych, niemal intymnych sprawach, więc pozwól, że pójdę dalej. Sądzę, że nie tylko jesteś utalentowaną, inteligentną i piękną dziewczyną, ale też, że nie brakuje ci odwagi, żeby sprostać wszystkiemu. Wierz mi. Ja to wiem.

- Wiesz? - zapytała tyleż zaskoczona, co zdezorientowana jego pewnością siebie.

- Tak - odrzekł z powagą, która wręcz do niego nie pasowała. - Ćwierć wieku temu, kiedy, miałem dwadzieścia lat, zakochałem się w pewnej dziewczynie. Pobraliśmy się zaraz po ukończeniu studiów. Wydawało się nam, że jesteśmy najszczęśliwszą parą pod słońcem. Moja żona zaszła w ciążę. Szaleliśmy z radości. Nadszedł czas rozwiązania. Pojawiły się komplikacje. Lekarze okazali się bezsilni. Straciłem ją i dziecko. - Strząsnął dłonią z klapy marynarki jakiś niewidoczny pyłek. - Mój cały świat legł w gruzach. Zacząłem pić. Aż pewnego dnia, chory po przepiciu, zadałem sobie pytanie: Dlaczego mam poddawać się śmierci i cierpieniu, czyż nie lepiej z nimi walczyć? Ostatecznie po to tyle lat się uczyłem. Jeszcze tego samego dnia podjąłem decyzję i nie żałuję jej do dzisiaj. Drugi raz nie ożeniłem się, wychodząc z przekonania, iż żadna nowa miłość nie dorówna tamtej. A wracając do ciebie, dziewczyno. Nie rezygnuj z pracy. Nie trać wiary w coś, co nada twemu życiu prawdziwy i głęboki sens. Zwycięzysz. Jestem tego pewien.

- Marc - zaledwie mogła mówić, tak była wzruszona - nie miałam pojęcia, że przeszedłeś przez taką tragedię. Byłeś zawsze dla mnie uosobieniem optymizmu i dobrego humoru.

- I jest w tym jakaś prawda, Susy. Dlatego, jeżeli będziesz potrzebowała duchowego wsparcia, wal prosto do mnie. Przynajmniej dopóki będę na tej wyspie. A pozostanę tu dłużej, niż z początku myślałem, bo kilka tygodni.

- Dziękuję, Marc. Rozmowa z tobą naprawdę podnosi na duchu. O wszystkim wiedzą tylko moi rodzice i przyjaciółka Julia. Poza tym nikomu...

- Więc Ross nie należy do wtajemniczonych?

- Nie. Mój ojciec powiedział mi, że zerwałam zaręczyny, a ja dotąd nie miałam siły tego sprostować.

- Możesz mi zaufać. Nie zdradzę niczego. Zrobisz to sama, kiedy poczujesz, że nadszedł czas.

Susy poczuła przypływ wdzięczności dla tego wspaniałego mężczyzny, który otworzył przed nią swoje serce.

- Dziękuję, Marc. Dziękuję za wszystko. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Muszę ci o czymś powiedzieć. Dzisiaj Ross zlecił mi usunięcie szwów pooperacyjnych. Delikatny przypadek. Byłam przerażona. Ale jakoś wzięłam się w garść i wykonałam robotę jak za dawnych czasów. I po tym, co mi powiedziałaś, chyba do niej wrócę. Ponieważ... ponieważ...

- Ponieważ tego naprawdę chcesz - dokończył za nią z uśmiechem. - Po prostu magnifico Susy!

Opanowało ją rozrzewnienie. - Marc, błogosławię dzień, w którym cię spotkałam.

- Niebawem będziemy musieli się rozstać, Susy. Ale na bardzo krótko. Po prostu ja i Ross na dwa dni wybieramy się do Belfastu. Chcę się przekonać, jak sobie radzą tamtejsze dzieciaki. Może uda mi się ściągnąć kilkoro z nich do Stanów i zafundować im wakacje...

Następnego dnia przyjęto na internę sześcioro dzieci z zatruciem pokarmowym. W związku z tym było mnóstwo krzątania i Susy została praktycznie sama na ortopedii. A jednak czuła się tak pogodna i lekka po wczorajszej rozmowie z Markiem, że dodatkowe obowiązki, które na nią spadły, wydawały się prawie drobnostką.

Kończyła właśnie okrywać dzieci na popołudniową drzemkę, kiedy pojawił się Ross. Powitał ją dość formalnym uśmiechem, po czym zbliżył się do łóżka Kevina. Jak zwykle poprzekomarzał się trochę z chłopcem, by w końcu polecić mu, żeby zrobił kilka ruchów głową. Ten test sprawności szyi musiał widocznie go zadowolić, gdyż poklepał Kevina po plecach i poczęstował cukierkiem.

Wychodząc zatrzymał się w drzwiach.

- Proszę na słówko, panno Frenais.

Serce Susy zabiło. Czyżby dopuściła się jakiegoś błędu i on ten błąd zauważył? Wyszli na korytarz.

- O ile wiem, nie byłeś jeszcze w sali operacyjnej i właśnie chciałbym ci ją teraz pokazać. Dzieciaki śpią, więc mamy chwilę wolnego czasu.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Ross powiódł ręką wokół siebie, niczym przewodnik w muzeum.

- Spójrz tylko. Czyż nie jest tu wspaniale?

Susy wyraziła swój zachwyt, po czym podeszli do rzędu autoklawów na stole pod ścianą. Ross dotknął palcem drugiego z lewej.

- Do tego trzeba wezwać fachowca. Pompa trochę szwankuje i para nie osiąga wymaganych stu dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Chyba nie muszę mówić, że przy sterylizacji materiałów opatrunkowych i narzędzi chirurgicznych wymagana jest szczególna dokładność i dbałość.

- Jasne. Dopilnuję, by został naprawiony.

- Zgromadziliśmy tu wiele bardzo drogich urządzeń technicznych, mniej lub bardziej skomplikowanych, w większym lub mniejszym stopniu zmniejszających ryzyko operacji, i chciałbym, żeby każdy członek personelu miał o nich przynajmniej ogólne pojęcie. - Wsadził ręce w kieszenie fartucha. - I jak udał się wczorajszy wieczór w towarzystwie Marca?

Zaskoczyło ją to pytanie. Tym bardziej że w tej chwili nie tyle go słuchała, co doznawała jego fizycznej bliskości. Stał bliżej, niż normalnie stoi partner w trakcie rozmowy. Gdyby głębiej odetchnęła, dotknęłaby piersiami jego piersi. I ta bliskość powodowała, że przestawał być tylko kolegą z pracy. Przede wszystkim był przystojnym mężczyzną.

- Klasa. Wyobraź sobie, że przez większość czasu rozmawialiśmy tylko o Belfaście.

- Mogłem się domyślić! Wywarłaś wtedy na nim niezatarte wrażenie.

- W czasie grozy wszystko nabiera niecodziennych rozmiarów.

Ross uśmiechnął się.

- Ten stary Marc to pocziwe chłopisko.

- Lubię go - wyznała z całą szczerością. Ross spojrzął na ścienny zegar.

- Niedługo kończysz pracę. Czy w przyszłym tygodniu znowu się pojawisz? Pytam, gdyż nie mam wglądu w twoje tajne plany.

- Jakikolwiek by były, pojawię się, jeśli będę potrzebna.

Zatopił spojrzenie w jej oczach.

- O, tak - rzekł chrapliwym głosem - jesteś bardzo potrzebna.

Uniosła ku niemu twarz. I w tym momencie świat zawirował. Poczuli, że nawet ten mały dzielący ich dystans został przekroczony. Ich usta spotkały się, ciałami przyłgnęli do siebie. Lecz trwało to tyle, co mgnienie. Ross odsunął się i tylko w jego oczach pozostał cień namiętności.

- To był pocałunek powitania, Susy. Cieszymy się, że dołączasz do naszej gromadki. Zyskujemy w tobie wartościową pielęgniarkę. Mam nadzieję, że dobrze ci będzie z nami.

Jej serce waliło mocno, a nogi drżały, jakby dopiero co przeszła po wąskiej i oblodzonej półce skalnej nad przepaścią.

- Postaram się nie zawieść swoich kolegów. - My również zrobimy wszystko, co w naszej mocy. - Roześmiał się, po czym dodał bardzo poważnie: - Ufam, że nie ma już w tobie tych wszystkich wątpliwości i wahań.

- Rozprawiłam się z nimi raz na zawsze.

- Dzieciaki przepadają za tobą. Zresztą trudno im się dziwić.

- Miło słuchać takich słów. Dodają otuchy.

- Czy kiedykolwiek uprawiałeś jachting? - spytał niespodziewanie.

W tym momencie odezwał się interkom: „Doktor Beaumaris proszony jest na internę”. Ross teatralnie jęknął.

- To ostatnie pytanie rezerwuję sobie na najbliższą okazję! Bywaj...

- I odszedł.

Ona też musiała już iść, tyle że do domu. Wsiadając do samochodu, wciąż czuła na wargach pocałunek Rossa. Myślała o jego zwykłej dobroci i poczuciu humoru. Pragnęła mieć w nim kolegę i przyjaciela. Pocałunek cokolwiek komplikował sprawę, ale ostatecznie mało to mężczyzn całuje zaprzyjaźnione kobiety? A poza tym widziała dziś na własne oczy, jak Ross i Rebecca Cohen spacerowali po korytarzu, zaśmiewając się, obejmując i szepcząc sobie coś na ucho. Mogła więc czuć się bezpieczna. Dlaczego jednak tak nie było?

Wróciwszy do domu, zastała matkę w stanie takiego podniecenia, jakby wygrała w bingo całą pulę.

- Cześć, mamo. Wyglądasz jak szesnastolatka. Stało się coś fajnego?

Dorothy odpasła fartuch.

- Wyobraź sobie, twój ojciec zjawiał się na lunchu z wiadomością, że obydwoje wyruszamy w podróż. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Po tylu latach zachciało mu się świętować!

- To wspaniale! Gdzie was niesie?

- Znając go, pewnie gdzieś daleko. Na razie jednak żadne z biur podróży nie dało mu zadowolającej oferty.

Wieczorem całą trójką zasiedli na tarasie. Popijali whisky z wodą sodową i lodem. Słońce już prawie dotykało horyzontu, a morze wydawało się wzburzone.

- Susy, czy myślałaś kiedyś o tym, żeby podjąć tutaj stałą pracę? - spytał w pewnym momencie ojciec.

- Prawdę mówiąc, nigdy. Czasami przychodziło mi to do głowy, ale nigdy nie zastanawiałam się nad tym na serio.

- A co byś, na przykład, powiedziała na pracę w naszym szpitalu?

- To znaczy?

- Nie zrozum mnie źle, kochanie. Nie chcę wywierać na ciebie żadnej presji. Przeszłaś ciężkie chwile i jesteś tu, żeby odpocząć i nabrać sił. Sama więc rozsądzisz i podejmiesz decyzję. Panna Aldridge, doktor Ross i ja, wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z twojej, by tak rzec, ohotniczej pracy. Jedno więc twoje słowo, a możesz zacząć pracować jako pielęgniarka na oddziale ortopedycznym. Jeżeli przetrwasz pierwszy okres, to niebawem, uwzględniając twoją wiedzę i staż, awansujesz na siostrę przełożoną. Decyzję o awansie podejmuje wprawdzie rada, ale nie widzę tu żadnego problemu. I co ty na to?

Susy zawahała się. Co prawda w ostatnich dniach dokonała się w niej istotna przemiana, wciąż jednak brakowało jej pewności, czy może wziąć odpowiedzialność za zdrowie, a nawet życie dzieci.

- Daj mi trochę czasu, tato. Doceniam twoją troskę i czuję się nią wzruszona, ale nie mogę podjąć się czegoś, czemu mogę nie sprostać.

Ojciec kiwnął z uśmiechem głową.

- Jesteś naszą córką, wierzymy w ciebie i znamy twoje zdolności. Jednak masz rację mówiąc, że trzeba tu wykluczyć jakiekolwiek ryzyko. Skoro uważasz, że istnieje, gotowi jesteśmy uzbroić się w cierpliwość. Podejmiesz decyzję we właściwym czasie i powiadomisz nas o niej.

Susy, zanim poszła do łóżka, odwiedziła jeszcze ojca w jego gabinecie. Pisał właśnie list. Na jej widok odłożył pióro.

- Siadaj. Widzę, że moja propozycja nie daje ci spać.

- W pewnym sensie tak - przyznała, siadając na krześle. - Ciekawa jestem, jak by zareagował na nią Ross.

Ojciec uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

- Ross? A co on ma tu do rzeczy? Myślę jednak, że przyklasnąłby temu. Wyjeżdża jutro do Belfastu. Kiedy wróci, powiadomię go o wszystkim.

Susy wiedziała już, że niepotrzebnie wspomniała mu o Rossie. Wyłączny osąd swej decyzji, jakkolwiek by ona była, powinna pozostawić ojcu.

- Masz rację, tato.

- Głowa do góry, kochanie. O czymś zapomniałem ci powiedzieć. Wypisujemy Robina. Chłopiec w pełni już wrócił do zdrowia.

Uśmiechnęła się.

- Podejrzewam, że nie bardzo się pali do opuszczenia szpitala.

- Bo ty tam jesteś, Susy. Ale gdy tylko wybierzecie się na pierwszą wycieczkę, przekona się, jak cudownie jest być zdrowym.

Susy uściskała ojca na dobranoc, a po chwili leżała już w łóżku. Myślała o Robinie, jego powrocie do sierocińca i problemach z tym związanych. Ale nagle ten wątek jej myśli został przerwany przez wspomnienie pocałunku. Na pozór niewinny, pocałunek ten rozpałił w niej ogień. I od jednej iskry może spłonąć las...

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Robin został wypisany ze szpitala w dniu powrotu Rossa i Marca z Belfastu. Zgodnie z przyjętym zwyczajem, zwalniane dziecko dostawało drobne prezenty i duże ciacho jako symbol zdrowia. Chłopiec właśnie kończył je pałaszować, kiedy w otwartych drzwiach pojawili się dwaj lekarze.

- I kogóż my tu widzimy? - zawołał od progu Ross. - Naszego ozdowieńca. Gdzież to się wybierasz, Robin?

Piegusek roześmiał się.

- Pan dobrze wie, doktorze. Wracam do sierocińca.

- Czy to prawda, dzieciaki? - zapytał Marc współtowarzyszy Robina.

- Prawda! - odpowiedzieli mu zgodnym chórem. Marc wyłowił z kieszeni fartucha paczkę różnokolorowych landrynek.

- Poczęstuj, Robin, kolegów, a co zostanie, to twoje.

Chłopiec jednak miał trochę inny pomysł na cukierki.

- Dziękuję. Ale muszę zachować też część dla Susy i cioci Dorothy.

W tym momencie wezwano Rossa do telefonu.

- Rób, jak podpowiada ci twoje serce. Do zobaczenia jutro lub pojutrze!

- Cześć, Robin. Uważaj na siebie! - dodał Marc, wychodząc razem z przyjacielem.

Nadszedł czas wyjazdu. Robin pożegnał się z kolegami i całym personelem. Susy odprowadziła chłopca aż do samej karetki. Tutaj połały się łzy. Lecz w końcu obietnica szybkiego spotkania rozpogodziła szlochające dziecko.

Wróciwszy na oddział, Susy natknęła się na Rossa. Zaprosił ją do swego gabinetu.

- Siadaj, proszę - rzekł, opierając się o biurko. - Nie zajmę ci dużo czasu. Dzwonił do mnie twój ojciec. Powiedział, że zaproponował ci podjęcie starań o posadę pielęgniarki w naszym szpitalu.

- Zgadza się. Ale nie dałam mu jeszcze ostatecznej odpowiedzi.

- Susy... - Ross spojrział na koniuszki swych butów. - Rozważając całą sprawę, musisz uwzględnić też to, czy praca tutaj nie będzie dla ciebie nadmiernym obciążeniem. Nie możemy pozwolić sobie na przerost personelu, więc każdy będzie miał pełne ręce roboty.

- Oczywiście, Ross. Przed podjęciem decyzji będę starała się wszystko dokładnie przemyśleć.

- Rozumiem. Tylko żebyś nie zapomniała, że stała praca to całkiem inna para kaloszy. Powiedziałaś mi niedawno, że odzyskałaś wiarę w siebie.

Chodzi więc o to, by codzienna harówka, zbyt wczesnie podjęta, nie nadkruszyła tej wiary.

Jakimi motywami się kierował, mówiąc jej to wszystko? Bo niewątpliwie odwoził ją od starań o stały angaż.

- Mogę się mylić, Ross, ale wyczuwam w tobie niewiarę, że zdołam podołać obowiązkowi. Chyba że upatrzyłeś sobie kogoś innego...

Zdenerwowały go te słowa.

- Bzdura. Po prostu o ile dzisiaj sprostać możesz wszystkiemu, to nie wiadomo, jak będzie jutro. Ja myślę o dalszej przyszłości. A co do tej innej osoby, to rada z pewnością zechce przesłuchać dwie lub trzy kandydatki, lecz wybór i tak jest oczywisty.

- Dziękuję, Ross. Przemyślę twoje słowa - odparła lodowatym głosem, po czym uniosła się z krzesła. - Czy jeszcze coś?

Oderwał się od biurka i postąpił krok do przodu. Nie był zadowolony ze sposobu, w jaki przeprowadził tę rozmowę. Miał głowę zaprzątniętą przyjaźnią Marca i Susy. Chociaż wiedział, że Marc uwielbiał swoją żonę, niepokoiła go bliskość i serdeczność tej przyjaźni. A poza tym łan przed rozmową z córką nawet nie raczył zasięgnąć jego opinii. Ostatecznie to on, Ross, ponosił odpowiedzialność za dobór pracowników. Faworyzowanie krewnych, przyjaciół i znajomych uważał za największe zło.

W sumie czuł się paskudnie. Patrząc na chłodną, zamkniętą twarz Susy, zastanawiał się, czy zna tę dziewczynę. Od początku wydawała mu się zagadkową istotą. Przeżyła zerwanie zaręczyn, jakby był to koniec świata. To wręcz nie pasowało do dzisiejszej epoki. I dlaczego rozpromieniała się przy Marcu, a wobec niego, Rossa, niezmiennie zachowywała większy lub mniejszy dystans?

Odgarnął włosy z czoła. Gdzieś na obrzeżach świadomości pojawiła się myśl, że musi w najbliższych dniach iść do fryzjera.

- Nie, to wszystko, Susy. Dziękuję. Chcę tylko przypomnieć, że oficjalne otwarcie odremontowanego bloku pediatrii ma być uświetnione galą w hotelu Atlantic. Wiesz, tym z oknami na zatokę St Quen.

- Całkiem fajne miejsce. Może uda mi się przyjść.

Obrzuciła go ironicznym spojrzeniem, on zaś pomyślał, że jej chłodne piwne oczy potrafią czasami lśnić, niczym oblane światłem słonecznym dwa lukrowane migdały.

A potem odprowadził ją wzrokiem aż do samej windy, stwierdzając po raz kolejny, że ma szczupłą, zgrabną i pełną wdzięku figurę. Zamknął drzwi gabinetu. Susy odeszła, ale coś z niej pozostało. Chmurka delikatnego, drażniącego nozdrza zapachu jej perfum. Chcąc zająć się czymś konkretnym

i nie myśleć o dziewczynie, Ross podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość.

Na ten wieczór Susy i Julia umówiły się w winiarni. Susy musiała zrzuć ciężar z serca i zaczęła rozmowę od ostatnich nowin.

- Jak więc widzisz, Ross z początku entuzjazmował się każdym moim napomknięciem o podjęciu stałej pracy, a nawet sam mnie do tego namawiał. Teraz zachowuje się tak, jakby zmienił zdanie - zakończyła, marszcząc brwi.

Julia pociągnęła łyk czerwonego, słodkiego wina.

- Czy sądzisz, że chodzi mu o kwestie czysto zawodowe?

- Być może, ale nie ma tu żadnej pewności. Wymieniły spojrzenia.

- Zdaje się, że idziemy fałszywym tropem - zauważyła Julia po chwili milczenia. - Powiedz mi lepiej coś o tym Marcu Adjani. Na oko fajny gość.

Susy opowiedziała jej o Belfaście i ostatnim przypadkowym spotkaniu.

- Trzy dni temu zaprosił mnie na obiad. Zebrało się nam na szczerze wyznania. Dowiedziałam się, że stracił ukochaną żonę i dziecko. Jakies powikłania podczas porodu. Został więc doświadczony przez los tak jak ja, a może nawet boleśniej. Wiesz, Julio, rozmowa z kimś takim jest o wiele lepsza niż wizyta u psychologa.

- Na pewno na wiele rzeczy patrzycie tak samo.

- Tak, i to obopólne zrozumienie nadaje naszej przyjaźni szczególną barwę. Marc twierdzi, że powinniśmy pozostawać ze sobą w stałym kontakcie.

Julia zmierzyła przyjaciółkę długim, przenikliwym spojrzeniem.

- Doprawdy? Zdaje się, że jest starszy od ciebie o dwadzieścia lat.

Susy wytrzymała tę badawczą lustrację.

- To nie ma nic do rzeczy. Jesteśmy przyjaciółmi. Mamy podobne doświadczenia, które zrujnowały nam życie.

- Rozumiem - rzekła Julia, przeciągając samogłoski. - Tylko czy nie sądzisz, że to dziwne zachowanie Rossa można tłumaczyć właśnie tym?

- Co za pomysł! Niby dlaczego? Są serdecznymi kumplami i jaką to pretensję Ross mógłby mieć do mnie?

- Hmm, właśnie się zastanawiam - powiedziała Julia z tajemniczą miną, po czym zamówiła dwa kolejne kieliszki malagi. - A co z Robinem? Czy już wyfrunął od nas?

- Tak. Wrócił w pełni do zdrowia, ale obawiam się, że długo nie będzie mógł zaakceptować sierocińca. Tuż przed spotkaniem z tobą rozmawiałam przez telefon z dyrektorką. Powiedziała mi, że znów zamknął się w sobie i stroni od innych. Zapewne tęskni za kolegami ze szpitala.

- I tobą... i Rossem...

- Być może. Staralam się nie wyróżniać go spośród innych dzieci, ale, przyznaję, było to piekielnie trudne. To taki kochany chłopaczek.

- Czy wciąż przyjaźni się z tą... Sandrą? Chyba nie pomyliłam imienia?

- Nie. Choć dyrektorka wspomniała mi również, że zaangażowanie Sandry w tę przyjaźń jakby osłabło. Dowiem się wszystkiego jutro na spacerze.

Zmieniły temat i przez jakiś czas poruszały sprawy bardzo ogólne. W końcu Julia znów skierowała rozmowę na Rossa.

- Przypuszczam, że nigdy nie widziałas jego eksmałżonki?

- Nie, ale mówił mi o niej. Zapoznał mnie również z przyczynami rozwodu. Odniosłam wrażenie, że trafił na najbardziej samolubną istotę pod słońcem.

- Wrażenie całkiem słuszne. Zawsze współczułam Rossowi, chociaż nie sądzę, by nie potrafił się pocieszyć. Kobiety lgną do niego i znam przynajmniej dwie w naszym szpitalu, które mają na niego chrapkę. Jedna to Rebecca Cohen. Byłam raz świadkiem sceny, kiedy ukryła się na korytarzu, by potem zainscenizować niby to przypadkowe spotkanie.

- No, no! Dałabym jej medal za determinację!

- Nie ganiałabym w ten sposób za chłopem, choćbym nawet konała z miłości.

- A jakbyś próbowała się do niego zbliżyć?

- Powiedzmy, zaczęłabym uprawiać ten sam sport, co i on, tylko miałabym lepsze wyniki. Tak właśnie zabrałam się do Johna i zadziałało bez pudła.

Wybuchnęły śmiechem.

- Ciekawe, czy Rebecca wie, że Ross to zapalony żeglarz? Wątpię tylko, czy zaryzykowałaby zrujnowanie przez wiatr swej wypięszonej fryzury.

Julia zachichotała.

- Ależ z nas złośliwe plotkary...

Następnego dnia po południu Susy wybrała się do sierocińca, żeby zabrać Robina na plażę. Z chwilą gdy chłopiec znalazł się w samochodzie, jego twarzyczka rozpogodziła się. Rankiem padało i szare, kłębiaste chmury wciąż zasnuwały niebo. Prognozy nie zapowiadały przejaśnień.

- Wiesz co? - zaczęła Susy, kiedy ruszyli. - A może byśmy tak pojechali stąd prosto do mojego domu? Wprawdzie nie ma cioci Dorothy, ale zobaczysz się z nią kiedy indziej.

Zgodził się łatwiej, niż przypuszczała.

- Cioci Dorothy i tak bym dzisiaj nie widział. A z tobą, Susy, mogę siedzieć i siedzieć.

Spojrziała na niego z pewnym niepokojem. Odkąd opuścił szpital, był mniej pewny siebie, mniej też uparty. Zmienił się, ona zaś nie bardzo orientowała się w przyczynach tej zmiany.

W domu obejrzeni film rysunkowy, układali puzzle, a potem Susy sięgnęła po książkę i zaczęła mu czytać jedną z jego ulubionych bajek. Nagle dostrzegła łzy w jego oczach.

Dobry Boże! Robin płakał! Uklękła przy nim, przytuliła mocno i zapytała o powód płaczu. Minęło dobrych kilka minut, zanim chłopiec uspokoił się na tyle, by móc odpowiedzieć.

- Nie chcę być adoptowany, Susy. Chcę zostać w sierocińcu.

- Ależ, kochanie, przecież nikt tu nie planuje w związku z tobą żadnej adopcji! - Znalazła chusteczkę i wytarła łzy z jego policzków.

- Właśnie że tak! Teraz, kiedy wyzdrowiałem, opuszczę dom i będę adoptowany.

- A któż ci o tym naopowiadał? Bo na pewno nie pani dyrektorka.

- Nie, ale Sandra powiedziała mi, że wybiera się do nowej mamusi i nowego tatusia.

Susy nerwowym gestem odgarnęła włosy z policzków.

- Posłuchaj, moje serce, martwisz się bez potrzeby. Przygotowania związane z adopcją trwają bardzo długo. Poza tym pani dyrektorka uprzedziłaby cię. Doktora Rossa również.

- A ciebie? — zapytał, tłumiąc czkawkę.

- I mnie - odparła z trochę udaną pewnością; siebie. - A teraz przyrzeknij mi, Robin, że wybijesz sobie z głowy te wszystkie głupstwa. Z faktu, że Sandra przenosi się do przybranych rodziców, wcale nie wynika, że ty również.

Robin powoli odzyskiwał humor.

- Sandra chce wziąć mnie ze sobą.

- Naprawdę? Włóż to między bajki. Niedługo wszystko się wyjaśni. A teraz chodźmy do kuchni. Może znajdziesz tam coś, co lubisz.

- Oblane czekoladą ciasto biszkoptowe? Przeszli do kuchni. Susy otworzyła drzwiczki kredensu.

- Ależ z ciebie szczęściarz, Robin! Oto biszkopt z czekoladową polewą! A tu są banany i brzoskwinie.

Robin wrócił do sierocińca uspokojony i w nie najgorszym humorze. Pożegnawszy się z nim, Susy porozmawiała jeszcze z dyrektorką, po czym ruszyła w drogę powrotną do domu. Dojeżdżając do szosy, spostrzegła

skręcający w aleję dojazdową szary samochód. Przybliżył się i Susy poznała BMW Rossa. On również ją poznał, gdyż zwolnił i zatrzymał się na przydrożnym trawiastym pasie. Zrównała się z nim. Opuścił boczną szybę.

- Cześć! Czy spędziłaś to popołudnie z Robinem?
 - Tak, właśnie się rozstaliśmy.
 - W takim razie nie będę wstępował. Trochę się spóźniłem.
 - Wielka szkoda. Jestem pewna, że ucieszyłyby się z twojej wizyty.
 - Jednak przerzucę ją na jutro. Zresztą piątek to u mnie dzień rozjazdów.
 - Ross, trochę niepokoję się o Robina... W jednej chwili Ross dosiadł się do niej.

- O co chodzi, Susy? Przełknęła ślinę.
 - Robin wydaje mi się niezwykle smutny, jakby zgaszony.
 - A, twoim zdaniem, jaka jest tego przyczyna? Spojrzała na zegarek.
 - Przełożmy tę rozmowę na kiedy indziej. Przypomniałam sobie, że dziś obiad u nas w domu ma być wcześniej. Nie mogę się spóźnić.
 - A ja jestem umówiony z Johnem Fornetem na badminton. Wracając, wpadnę do ciebie.

Zaskoczona, bąknęła coś pod nosem. Uśmiech znikł z jego twarzy.
 - Nie ma sprawy. Możemy porozmawiać jutro. Zleją zrozumiał. Pragnęła tej jego wizyty. Pragnęła tak mocno, jakby od niej zależało całe jej życie.
 - Myślałam tylko o tym, że będzie to dla ciebie pewien kłopot.
 Z przyjemnością zauważył rumieńce na jej policzkach.
 - Absolutnie żaden. Zajadę zaraz po ósmej.

Po obiedzie, kiedy rodzice pojechali do znajomych na brydża, Susy zebrała ze stołu talerze, włożyła je do automatycznej zmywarki i poszła do siebie na górę. Sięgnęła po list od brata, który leżał na biurku od rana. Zamiast przeczytać od razu, tylko przebiegła go szybko wzrokiem. Przyjemność związaną z uważną lekturą pozostawiła sobie na później. Przede wszystkim musiała się przebrać. Włożyła błękitne dzinsy oraz workowatą bluzkę z wyhaftowanym z przodu dość głupawym wzorkiem. Nikt przynajmniej nie powie, że staram się uwieść naszego doktora. Jak w ogóle mogłam kupić to okropieństwo? -pomyślała.

Właściwie znała odpowiedź na to pytanie. Od śmierci Patricka przestała przywiązywać jakąkolwiek wagę do swego wyglądu. Kupowała, co akurat wpadło jej w rękę, nie zastanawiając się, czy dany ciuch będzie ją szpecił czy zdobił. Westchnęła i przyczesawszy włosy zeszła do salonu. Z magazynem w ręku usiadła w rogu miękkiej kanapy.

Jakże nudne mogą być czasem plotki o gwiazdach filmowych!

I w tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Odłożyła pismo i szybkim krokiem przeszła do holu... Na progu stał uśmiechnięty Marc!

- Cześć, Susy! Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Byłem w pobliżu i postanowiłem wpaść na małą pogawędkę.

Nie wiedziała, czy cieszy się, czy też jest rozczarowana.

- Wspomniałaś o pomysłach, Marc. Wchodź do środka.

- Wyglądałaś na zaskoczoną.

- Po prostu na ten wieczór zapowiedział się Ross. Mieliśmy przedyskutować pewne zawodowe sprawy. Kiedy zadzwonił dzwonek, pomyślałam, że to on.

Przeszli na taras, gdyż wieczór, jakkolwiek pochmurny, był wyjątkowo ciepły.

- Jak leci, Susy? - zapytał Marc wesołym głosem. Przez dobry kwadrans rozmawiali o sprawach ogólnych, ludziach, których znali, a nawet o polityce. Marc, rozluźniony i w szampańskim nastroju, okazał się cudownym gawędziarzem.

- Wszyscy tam, w Belfaście - rzekł w pewnym momencie - przesyłają ci przeze mnie najserdeczniejsze pozdrowienia i moc uścisków. Brakuje im ciebie i mają nadzieję, że kiedyś się pojawisz.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło.

- Prędeż czy później odwiedzę ich. Ale na razie każda myśl o tamtych kątach i twarzach pozbawia mnie tchu.

- Rozumiem cię, jednak taktyka, jaką narzucił nam świat, polega na tym, żeby zacisnąć usta i nie okazywać publicznie swych uczuć. Wobec innych musimy mieć zawsze uśmiechniętą twarz. Życie w dużych aglomeracjach jest tak skomplikowane, że wymaga szalonej dyscypliny. Również dyscypliny w sferze ekspresji. Amerykanie doświadczyli tego wcześniej od innych i dlatego u nas człowiek chory na raka, zapytany o zdrowie, odpowiada z uśmiechem, że czuje się świetnie. Nie ma to nic wspólnego ze szczerością lub jej brakiem. Takie są po prostu wymogi społeczne, żeby wszystko kręciło się w miarę gładko.

- I w rezultacie jednostka w tłumie lub w zatłoczonym pokoju czuje się bardzo samotna.

Mądre oczy Marca patrzyły na nią z ciepłą wyrozumiałością.

- By temu zaradzić, rozpaczliwie pragniemy miłości, dotykania i bycia dotykany. Zdarza się, że nasze pragnienia spełniają się.

Wymienili uśmiechy. Susy odniosła wrażenie, że odtąd ona i Marc mogą porozumiewać się bez słów.

- Ty czarodzieju! Tak mi zawróciłeś w głowie tą rozmową, że zapomniałam o drinkach.

Poderwał się z fotela. .

- Pozwól, że ja je przygotowuję.

Podszedł do stolika z baterią butelek, ona zaś miała okazję spokojnie się przypatrzeć jego atletycznej figurze, szerokim ramionom, lekko szpakowatym włosom i ciemnej opaleniznie. Biła od niego siła charakteru i zarazem jakaś niezwykła dobroć. To był człowiek, który potrafił kochać tylko raz w życiu, bo jego miłość miała wymiary absolutne. Zresztą wszystko w nim było na ogromną skalę.

- Wiesz, Susy - rzekł, wręczając jej drinka - pod względem duchowego hartu przypominasz mi moją żonę. Kiedy była studentką, straciła ojca. Popęłił samobójstwo po bankructwie firmy. Została bez grosza, lecz odmówiła przyjęcia pomocy finansowej. Chwytała się różnych zajęć, żeby zarobić na studia^ Walczyła i... wygrała. Ty również zwyciężysz, Susy.

- Tak się składa - powiedziała, wpatrując się w swoją szklankę - że otwiera się przede mną pewna szansa. Ojciec zaproponował mi pracę na oddziale pediatrycznym.

Marc rozpromienił się.

- Więc skąd ta żałobna mina?

- Cóż, po pierwsze, nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji, po drugie zaś, wyczuwam brak akceptacji ze strony Rossa.

- Brak akceptacji? Aż mi się nie chce wierzyć!

- Twierdzi, że stała praca może okazać się obciążeniem ponad moje siły. Niewykluczone również, że przemawiają przez niego jakieś inne powody.

- I kiedy masz dać odpowiedź?

- To kwestia najbliższych dni.

- Wiem, że to nie moja sprawa, lecz jeśli czujesz się na siłach, to rzuć się w tę przygodę. Zresztą sama rozstrzygniesz najlepiej. Ale, ale... Co z tym twoim pupilem, który gotował się do wyjścia ze szpitala, gdy po raz ostatni tam byłem?

- Trochę się o niego martwię. Wrócił do sierocińca, ale jak na razie nie umie się tam odnaleźć. Jest wrażliwym dzieckiem i słyszał o adopcji. Myślę, że wszystko to razem zachwiało fundamentami jego świata.

- Miejmy nadzieję, że ta cała sytuacja jakoś się wyprostuje.

- To właśnie jedna ze spraw, o których chcę porozmawiać z Rossem, o ile w ogóle przyjdzie.

Marc spojrział na zegarek.

- Muszę uciekać. Powinienem jeszcze przygotować się do wykładów, które w najbliższych dniach wygłoszę na kilku uniwersytetach na kontynencie. W zasadzie mój pobyt tutaj będzie należał do dłuższych, lecz nie wiem, czy znajdę czas na zaczerpnięcie oddechu. A co do tych dzieciaków z Belfastu, to skompletowałem dziesięcioosobową grupę, której fundujemy pobyt w San Francisco jeszcze tej jesieni. Zrobię wszystko, by do końca życia nie zapomnieli tych kilku tygodni.

Gdy uściskali się i Marc sobie poszedł, Susy wydało się, że słyszy w pobliżu domu drugi samochód. Po chwili napiętego oczekiwania uznała jednak, że musiała się przesłyszeć.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ross skręcił w aleję prowadzącą do domu Susy zaraz jednak musiał się zatrzymać, żeby przepuścić samochód jadący w przeciwnym kierunku. Poznał wypozyczonego forda Marca.

Marc zwolnił i krzyknął ponad opuszczoną do połowy boczną szybą:

- Cześć, Ross! Susy cię oczekuje.

Ross odpowiedział mu machnięciem ręki, po czym zgasił silnik. Potrzebował chwili spokoju, żeby uporządkować myśli. Czy przed dwoma laty w Belfaście Marca i Susy łączyła tylko przyjaźń? Aż zachnął się, że zaprzęta sobie głowę tak beznadziejnie abstrakcyjnymi problemami, a jednak nie mógł wyprzeć tego pytania ze świadomości. Był dotąd przekonany o całkowitym i wyłącznym uwielbieniu przez Marca kobiety, którą poślubił i która umarła. Ale czy uczucia są litą skałą, której nie może nadkruszyć czas? Marc... każdy człowiek zasługuje na szansę ogrzania swego życia ciepłem miłości. Mimo wszystko jednak najgorsza wydawała się możliwość, że to Susy, biorąc niejako odwet za zerwane zaręczyny i nieudaną miłość, upodobała sobie starszego od niej o dwadzieścia lat Marca. Bo to oznaczało, że naraża się na ponowną tragedię i rozpacz, gdyby Marc mimo wszystko nosił się z zamiarem dochowania wierności swej zmarłej żonie.

W końcu Ross zdecydował. Włączył silnik i na jedyńce, zółwim tempem, jakby chcąc dać sobie jeszcze trochę czasu do namysłu, zajechał przed dom Frenaisów.

W oświetlonym prostopadku drzwi pojawiła się Susy. Na jej widok z serca Rossa pierzchły wszystkie urazy i podejrzenia. Miała na sobie błękitne wąskie dzinsy, a na wargach, pięknych i „modlitewnych” jak z obrazów Botticellego, ujmujący uśmiech.

- Wejdz, Ross. Czekałam na ciebie. Musiałeś chyba minąć się z Markiem na drodze. Wpadł bez uprzedzenia, więc trochę pogadaliśmy. - Pomyślała, że jak na kogoś, kto całkiem niedawno rozegrał mecz badmintonu, Ross sprawia wrażenie wyjątkowo zimnego i sztywnego.

- Czy jak na jeden wieczór nie za dużo tych wizyt lekarzy?

- Im więcej, tym weselej! Rodzice wybrali się na brydża, a ja jestem spragniona towarzystwa.

Wszedł do holu. Bill i Ben powitały go radosnym szczekaniem. Pieszczotliwie wytargał za uszy dwa młode spaniele, po czym rozpinając górę dresu udał się za Susy na taras. Słyszała za sobą kroki, ale jego bliskość objawiała się dla niej jeszcze w czymś innym. Miało to charakter

jakby ciepłego strumienia, który spływał wzdłuż jej kręgosłupa. Niewątpliwie ten męczyzna oddziaływał na nią jakimś nieuchwytnym magnetyzmem, wiązką niewidzialnych promieni, które pobudzały jej zmysłowość i ożywiały duszę.

Stanął przy barierce. Powłoka chmur rozerwała się i w świetle księżycy ujrzeli statek płynący po morzu. Jego liczne światła upodabniały go do bożonarodzeniowej choinki.

- Co za piękny widok - powiedział Ross głosem pełnym zachwytu. - Niebo, morze i ten statek, jakby sygnalizujący upływ czasu.

- Tak, uwielbiam obserwować z tego tarasu. Właśnie tego widoku najbardziej brakowało mi w Belfaście.

Dziwne, ale przy Rossie czuła się w tej chwili niczym nieśmiała szesnastolatka, która wprawdzie coś mówi, ale nie słyszy swych słów, bo zagłusza je szum pulsującej w uszach krwi.

Ross przeniósł wzrok na Susy. Była to ta sama młoda kobieta, która przez tyle dni opiekowała się dziećmi w szpitalu, a równocześnie jakby ktoś inny. Jej szczupła szyja wychylała się z kołnierzyka luźnej bluzki niczym łodyga kwiatu. Niżej, pod zwiewnym materiałem znaczyły się pełne, krągłe piersi. Wydawała się niewinna i uwodzicielska zarazem. Olśniewała urodą.

Gdzieś w głębi domu zadzwonił telefon. Ross i Susy otrząsnęli się z zamyślenia.

- Siadaj. Zaraz wrócę.

Odeszła, on zaś ponownie oparł się o barierkę tarasu. Wolał w tej pozycji porządkować swoje myśli. Susy Frenais, tak niedostępna i zamknięta w sobie podczas ich pierwszego spotkania, objawiła mu się teraz jako uosobienie kobiecego wdzięku. To zaś z kolei drażniło jego zmysły i budziło zazdrość. Jednego bowiem był pewien. Nie został dotąd dopuszczony do hermetycznego kręgu jej prywatności. I tym właśnie różnił się od Marca.

Susy wróciła. Zapytała, czego się napije. Podziękował za alkohol i poprosił o kawę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to przejdę z tobą do kuchni.

Uśmiechnęła się.

- Jest to miejsce, gdzie większość naszych przyjaciół czuje się najlepiej.

Potem obserwował, jak miele, parzy i nalewa kawę. Posłodził dwie łyżeczki.

Wrócili na taras. Przez jakiś czas rozmawiali na błahe tematy, jak gdyby chcąc uciec w ten sposób od poważnych myśli i pragnień. W końcu jednak

rozmowa się urwała i zapadła cisza, której dolegliwość każde z nich odczuwało mniej więcej tak samo.

Susy zapaliła dodatkową lampę.

- Czy moglibyśmy teraz porozmawiać o Robinie? - Głos Rossa zabrzmiał jak wystrzał armatni. - Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, wydawałaś się bardzo zaniepokojona jego stanem.

Susy opadła ciężko na poduszki fotela.

- I nadał jestem. - Zrelacjonowała mu pokrótce swoje obserwacje. - Jak widzisz, wygląda to wszystko bardzo nieciekawie.

- Czyli że całe to zamieszanie wywołała Sandra swymi nieostrożnymi słówkami?

- Niezupełnie. Chodzi o dużo szerszy problem sieroctwa i adopcji. Całe życie duchowe tych dzieci skupia się tylko na tym. Sieroctwo przyjmują jako kalectwo, a że już są kalekami w sensie fizycznym, więc wyobraż sobie, co może się dziać w ich główkach i serduszkach. Marzą o tym, by przynajmniej się wyleczyć z duchowego kalectwa. To zaś mogą im zagwarantować przybrani rodzice. Robin twierdzi, że nie chce „nowego” tatusia i mamusi. Ale ile w tym buntu, a ile zawiedzionych nadziei, nie podejmuję się rozstrzygnąć.

- On bardzo cię lubi, Susy. Tym samym problem jeszcze bardziej się komplikuje.

Poczuła wyrzuty sumienia. Dlaczego w szpitalu traktowała Robina tak jak inne dzieci? Wiedziała przecież od dawna, że w swojej samotności ona i Robin potrzebują siebie nawzajem.

- Chyba bardzo tu zawiniłam. To takie słodkie dziecko. Tak nam ze sobą dobrze. Trudno mi się pogodzić z tym, że jest nieszczęśliwy.

- Rozumiem, Susy, ale iluż to dzieciom nie sposób odmówić miłości, szczególnie jeśli wykonuje się taką pracę, jak my. A przecież konieczna jest tu jakaś linia demarkacyjna, której jako dorośli musimy przestrzegać.

- Masz rację, Ross. Tylko że zdarza się od czasu do czasu, iż jakieś dziecko potrzebuje okazania wyjątkowo gorącego serca, my zaś, parci jakąś siłą, którą teraz trudno mi nazwać, nie możemy mu tego odmówić.

- Mówisz tu o czymś, co określiłbym jako miłość od pierwszego wejrzenia - powiedział tonem, który ją zastanowił.

- Podpisuję się pod tym określeniem - rzekła, unosząc filiżankę do ust.

Przez chwilę milczeli.

- A czy ty zakochałaś się kiedyś w ten sposób"? Oczywiście, myślę tym razem o mężczyźnie.

- Nie... nie jestem pewna. Zresztą nawet gdyby tak było, nie sędzę, bym chciała rozwodzić się na ten temat.

- Ale tylko wyobraź sobie, Susy! Gdzieś lecisz, powiedzmy, do Budapesztu, i na lotnisku Heathrow spotykasz nieznanego. Wasze dłonie przypadkowo spotykają się, spoglądacie na siebie i - ciach! trach! - jesteście ugotowani!

- Prawdę mówiąc, miałam przyjaciółkę, której coś takiego się przydarzyło. Matka powiedziała jej, że jest to albo chwilowy zawrót głowy, spowodowany hormonami, albo miłość na całe życie, do grobowej deski.

Ross wykrzywił twarz w uśmiechu. - I w rezultacie czym się okazało? - zapytał z ironicznym przymrużeniem oka.

Najwyraźniej nie wierzył jej. Ale ona brnęła dalej:

- Ta historia, niestety, nie kończy się weselnym tortem. Zaczęło się, trwało czas jakiś i przeminęło.

Moja przyjaciółka jednak nigdy nie zapomniała o przygodzie z lotniska.

- I po raz drugi już nie zakochałaś się?

Krew uderzyła jej do głowy.

- Ross, wypraszam sobie. Zechciej pamiętać, że mówię tu o swojej szkolnej przyjaciółce.

Podniósł ręce do góry w geście poddania, ale jego beczelny uśmiech jakby temu zaprzeczał.

- Wierzę, wierzę... Ale dlaczego nie powiesz mi czegoś o sobie?

- Nie podaję swego serca na talerzu! Jakby posmutniał.

- Zdaje się, że o coś innego chodzi w naszej rozmowie.

- Mnie zaś się wydaje, że odbiegliśmy w niej zbyt daleko od Robina i jego problemów.

- Tak, tyle że nie miałem dotąd zbyt wielu okazji przeprowadzenia z tobą serdecznej i szczerzej rozmowy. Chciałbym wiedzieć, co kryje się za tą chłodną maską, którą tak szczerze się zasłaniasz. Myślę, że z całego bogactwa swych przeżyć rzucasz mi tylko okruszynę, tak na odczepnego. Coś powstrzymuje cię przed uchyleniem zasłony. A przecież wierzę, że jesteś otwartą, spontaniczną i miłą dziewczyną. Chyba że twoje zaręczyny okazały się tak straszną pomyłką, iż...

Poderwała się na równe nogi. Dygotała, a jej serce przepelniał gniew.

- Wybacz, Ross, lecz zatraciłeś wszelką miarę. Mnie „straszne pomyłki” nie zdarzają się. I pragnę jeszcze coś dodać. Załóżmy, że już zdecydowałam się na tę pracę w szpitalu. Czy w związku z tym musiałabym liczyć się z możliwością, że weźmiesz mnie w krzyżowy ogień pytań na temat najbardziej intymnych spraw mojego prywatnego życia?

Nie czekała na odpowiedź. Podeszła do barierki i zapatrzyła się w dal. Ale widziała tylko mglistą ciemność.

Nagle poczuła, że obracają ją czyjeś mocne dłonie. A potem dotykają jej policzków i ścierają z nich łzy.

- Przepraszam, Susy. Nie chciałem cię zranić ani zdenerwować. Niepotrzebnie wymknęło mi się fatalne wręcz słowo i bardzo tego żałuję. Przekomarzaliśmy się, a ja nie zauważyłem, kiedy nasza rozmowa buffo stała się rozmową serio. Wierz mi, jeśli wystąpisz o tę pracę, twoje życie prywatne będzie dla mnie tabu. Po prostu sądziłem, że najlepszym lekarstwem na zadawniony ból serca jest szczerza rozmowa. OK, wiem, że wobec Marca łatwiej ci się zdobyć na otwartość. Marc zna cię lepiej, gdyż dzielił z tobą pewne doświadczenia w Belfaście. Ja chciałbym tylko, żeby brzemień osobistych cierpień nie stanowiło przeszkody w całkowitym oddaniu się pracy.

- Jasne! Praca i obowiązkowość przede wszystkim! - rzuciła ironicznie. - Ale pana obawy, panie doktorze, są całkiem bezpodstawne. Czuję się na siłach sprostać swym obowiązkom nie gorzej od innych. Nie będę czarną owcą w zespole. Denerwuje mnie natomiast pana osoba. Dostrzegam bowiem u pana wygórowane mniemanie o własnej wartości. Moralisci nazywają to pychą. Ubodło pana, że mój ojciec zaproponował mi tę pracę jakby za pana plecami. Pan nie lubi być pomijany. Cierpi na tym pana próżność. Więc w odwecie chce się pan dogrzebać do mojej prywatności, aby znaleźć tam jakiś haczyk. Ale ja mówię: stop! Ani kroku dalej!

Trzymał dłonie na jej ramionach. Teraz wzmocnił uścisk. Jego również opanował gniew. Wydawało się, że zaraz straci kontrolę nad sobą i dopuści się jakiejś strasznej rzeczy.

- Posłuchaj, kobieto! Możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie, ale mylisz się, doszukując się źródeł mojego zachowania w urażonej ambicji. Czyż nie dałem ci dowodu pełnego zaufania, gdy powiedziałem ci o swojej żonie? Ale żeby trafnie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba mieć w sobie mądrość i dobroć. Tymczasem z twoją moralną wrażliwością jest tak, jak z uśmiechem skapca. Jesteś małą córeczką tatusia i mamusi i długo jeszcze nią pozostaniesz. - Potrząsnął nią niczym szmacianą lalką i odepchnął od siebie.

Jej reakcja była natychmiastowa. Uniosła rękę i uderzyła go w twarz.

- Już nigdy więcej nie waż się tak mówić! A teraz... Znasz drogę do samochodu.

Nastąpiła chwila strasznego milczenia. Jakby oboje oczekiwali, że zaraz zatrzęsie się ziemia, zagrzmią pioruny i morze zaleje wyspę.

Lecz stało się coś zupełnie innego. Ross odrzucił do tyłu głowę i zaniósł się serdecznym śmiechem.

- Moja ty cudna dziewczyno! Odegraliśmy scenę godną wiktoriańskiej dramy. Dlaczego by więc nie skończyć jej zgodnie z obowiązującymi wówczas konwencjami?

I zanim się spostrzegła, przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do jej ust w namiętym pocałunku. Próbowwała się wyrwać, ale skończyło się tylko na próbie. Po jego stronie była siła, determinacja, namiętność... Po jej - wyłącznie płochliwe oszołomienie. Zaiste, niewiele się różniła od wiktoriańskiej panienki!

- Tym razem nie przepraszam - wyszeptał w pewnej chwili, pozwalając jej na złapanie oddechu.

Ale szans na udzielenie odpowiedzi nie dał jej żadnych. Wcisnął język pomiędzy jej zęby. Jego ramiona przypominały stalowe obręcze. Przyciskał ją do siebie z taką siłą, iż pomyślała, że zmiażdży jej piersi.

Jakby czytał w jej myślach. Zwolnił uścisk ramion i zaczął pieszczotliwie gładzić miękki jedwab jej włosów. Jego wargi, przed chwilą zdobywcze i żarłoczne, teraz już tylko muskały jej twarz... oczy... policzki... nos...

Ponad nimi rozległ się huk. Odruchowo spojrzeli w górę, na usiane gwiazdami niebo. Wysoko, nad ich głowami migwały światła odrzutowca, który zapewne dopiero co wystartował z lotniska na wyspie.

Susy nie miała śmiałości spojrzeć Rossowi w oczy. Żałowała swych słów i poczuła się całkiem rozbita.

- Zachowałam się skandalicznie. Naprawdę przykro mi, Ross.

Przejechał dłonią po twarzy, jak człowiek, który budzi się z sennych koszmarów. Potem wziął ją za rękę i zaciągnął na kanapkę.

- Nie przepraszaj, Susy. Od przepraszania to ja tu jestem. - Ujął ją pod brodę. - Zgoda?

Kiwnęła głową. W jej pięknych oczach wciąż płonęła namiętność. - Tak, ale...

Dotknął palcem jej warg.

- Żadnego „ale”. Przyrzekasz? Skinęła głową.

- Pięknie. A teraz pozwól mi coś powiedzieć. Twój wybuch, twoja krytyka mojej osoby dały mi lepsze wyobrażenie o tobie niż wszystkie słowa, które dotąd od ciebie usłyszałem.

Miała skruszoną minę.

- Zupełnie nie wiem, jak mam to rozumieć.

- Zrozumiesz, kiedy w spokoju wszystko przemyślisz. I jeszcze jedno. Kiedy zdecydujesz się wreszcie na tę pracę, ucieszysz tym wiele osób, ale mnie najbardziej. Musisz mi uwierzyć.

- Dziękuję, Ross. Może powinniśmy zapomnieć wszystko to, co sobie nawzajem wykrzyczeliśmy?

- Dlaczego? Odrobina prawdy jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Z wnętrza domu dobiegły ich głosy. Wrócili rodzice Susy. Ross porozmawiał chwilę z państwem Frenais, po czym się pożegnał.

Tego wieczoru Susy długo nie mogła zasnąć. Myślała o Rossie i o tym, co powiedział. Sięgnął spojrzeniem do jej wnętrza, gdy znajdowała się w stanie gniewu i buntu. Dziwną rzeczą koleją, ona też coś podobnego mogła o nim powiedzieć. Poznała go do głębi w jego pocałunkach, szalonych i czułych.

Następnego dnia na ortopedię przywieziono dwoje dzieci. Zajął się nimi siostra Mason, ona też dokonała wpisu. Wszystko poszło bez większych komplikacji i kiedy Susy zjawiała się w pokoju pielęgniarek, Hilary Mason, mając chwilę przerwy, zapoznawała się właśnie ze sprawozdaniem z nocnego dyżuru.

- Wyjątkowo spokojna noc - zauważyła, odkładając raport.

- Hilary, ja w sprawie tego oficjalnego środowego otwarcia. Czy mogłabym wziąć sobie wolne popołudnie? Zaproszono mnie na koktajl w hotelu Atlantic, który ma się odbyć między piątą a szóstą.

- Jasne! Sama chyba również tam będę, ale godzina mi wystarczy. Tym bardziej że mogę przebrać się tutaj.

- Dziękuję. Jesteś wspaniała.

- Przysługa za przysługę. Czy mogłabyś mnie zastąpić w dzisiejszym obchodzie? Po prostu muszę być gdzie indziej, a nie rozerwę się.

- Oczywiście. O ile tylko jest to dozwolone.

- Nie widzę żadnych formalnych przeszkód. Susy udała się na ortopedię. Przyjęte dziś dzieci były rodzeństwem, ofiarami wypadku samochodowego.

Dziewięcioletni chłopiec miał złamaną nogę, zaś u jego trzyletniej siostrzyczki podejrzewano pęknięcie czaszki. W tej chwili badali ich dwaj lekarze: doktor Frenais oraz doktor Beaumaris. Susy podeszła do łóżka Kevina.

- Kiedy będę mógł pójść do pokoju zabaw? - zapytał chłopiec.

Szybko wracał do formy. Operacja udała się nad podziw. Kevin z prostą szyją prawie już w niczym nie przypominał dawnego siebie.

- Cierpliwości. Jest obchód. Kiedy się skończy, będziesz mógł włożyć kapcie i dołączyć do innych dzieci.

- A kiedy zobaczę się z Robinem? Susy wygładziła fałdy jego kołdry.
- Kevin, zadajesz dziś same trudne pytania. Myślę, że kiedy twoja mamusia zabierze cię do domu, zorganizuje wam to spotkanie.
- A czy Robin nie mógłby odwiedzić mnie tutaj?
- Jeśli będziesz posłuszny i grzeczny, to być może go sprowadzę. A teraz muszę dołączyć do panów doktorów.

Kiedy jednak Susy odwróciła się od łóżka Kevina, zobaczyła, że został tylko Ross. Pochylał się nad małą dziewczynką. Przy jej łóżku siedziała zapłakana matka i w bolesnym napięciu śledziła ruchy rąk lekarza, który obmacywał dziecku główkę.

- Wszystko wydaje się w normie - rzekł Ross, wyprostowując się - lecz, oczywiście, rozstrzygający będzie wynik prześwietlenia.

- Wyzdrowieje moja dziecina, prawda, panie doktorze? - zapytała matka głosem drżącym od tłumionego lęku.

- Jak powiedziałem, prawdziwy obraz uzyskamy dopiero na zdjęciu. Lecz chciałbym uspokoić panią, pani Marshall. Jestem optymistą. Uważam, że skończy się na dwudniowym pobycie Merry w szpitalu i przeprowadzeniu rutynowych badań.

Z kolei przeszli do chłopca, brata Merry. W tym wypadku rozpoznanie nie nastroczało tyle trudności. Ewidentne złamanie kości goleniowej. Raczej bez powikłań. Zalecenia: rentgen oraz gips.

Obserwując Rossa podczas obchodu, Susy miała okazję z bliska podziwiać jego takt, opanowanie, kompetencje oraz rzeczowość. Ross-lekarz różnił się zdecydowanie od Rossa w prywatnych sytuacjach. Tamten w gniewie zarzucił jej, że jest „tatusiową córeczką”. Czyżby świadczyło to o tym, że dostrzega pewne podobieństwo między nią, Susy, a swoją eksmałżonką, rozpieszczaną i psutą przez ojca? Wierutna bzdura! Tylko ślepiec mógłby nie zauważyć, że łań swoją córkę darzy miłością, która zamiast pozwalać na wszystko, mobilizuje, miłością twórczą i pełną najwyższych wymagań. Lecz jeśli Ross jest ślepcem, to kto go nim uczynił? Tutaj wina leżała całkowicie po jej stronie, gdyż to ona właśnie zamykając przed nim swoją prywatność, zmuszała go do stawiania sobie pytań, na które nie znajdował sensownych odpowiedzi.

W poniedziałek Susy miała wolne popołudnie. Tym razem postanowiła przeznaczyć je dla siebie.

Niedaleko domu była zaciszna zatoczka. Wczasowicze rzadko tam zaglądali. Miejsce to bowiem od głównej plaży oddzielał niewielki kanał. Można go było przepłynąć w pław lub łodzią, przy czym tylko ten drugi sposób wydawał się sensowny. Frenaisowie, podobnie jak większość

mieszkańców pasa nadbrzeżnego, posiadali łódź zacumowaną w morskiej odnodze poniżej ogrodu. Zaopatrzona w dwa wiosła, służyła Susy i jej bratu do różnych eskapad jeszcze za czasów uczniowskich.

Jak można się było spodziewać, w zatoczce nie było żywej duszy. Po półgodzinnej, forsownej kąpieli, podczas której przećwiczyła prawie wszystkie style, Susy wyszła z wody i wyciągnęła swoje gibkie ciało na gorącym piasku. Słońce grzało jak w środku lata. Daleki szum morza działał kojąco. Po szafirowym niebie żeglowały śnieżnobiałe cumulusy, przypominające kłaczki bawełny. Na morzu zaś, w prześwicie pomiędzy skałami, pojawiła się na chwilę średnich rozmiarów żaglówka. Jej wydęty grot pysznił się niczym paw, sztakle furkotały.

Tam mógł być Ross, pomyślała Susy. Ona szukała dziś ciszy i ukojenia, więc i on mógł zrobić to samo. Wyobraziła go sobie w krótkich spodenkach, ochlapanego wodą. A potem fantazja zaczęła podsuwać jej coraz to nowe obrazy. Jeden z nich przybrał postać raczej mało przyjemnej przygody. Oto ona, Susy, wypływa w morze zbyt daleko i opuszczają ją siły. Wie, że za chwilę pójdzie pod wodę jak kamień. Ogarnia ją panika. Wtem czuje czyjeś silne ramiona. Ramiona Rossa...

Kiedy wróciła do domu, zastała matkę z żelazkiem w ręku przy desce do prasowania.

- I jak udało się pływanie? - zapytała Dorothy.

- Bosko, mamó. - Susy spojrzała na stos uprasowanej bielizny. - Widzę, że zamiast obiecanej podróży, wciąż ta sama czarna domowa robota.

Dorothy zachichotała.

- Ostatnie wiadomości są pocieszające. Zwolniły się dwa miejsca na statku płynącym do Indii Zachodnich i ojciec powiedział: „Bierzemy”. Stąd ta moja domowa krzątania!

- To wspaniale, mamó. Kiedy wypływacie?

- W przyszłym tygodniu. Jak widzisz, muszę się śpieszyć, żeby wszystko zostawić w należyтым porządku.

- Pomogłabym ci, ale umówiłam się na dzisiaj z dyrektorką sierocińca. Chcę porozmawiać z nią o Robinie i całej tej sprawie adopcji, która go tak nurtuje.

- Biedny chłopczek! Mam nadzieję, że wkrótce wszystko się jakoś ułoży.

Susy dojechała na miejsce kwadrans wcześniej, lecz pani Harris już na nią czekała. Spotkały się w głównym holu, po czym natychmiast przeszły do gabinetu.

- Obawiam się, że mam do powiedzenia o Robinie niewiele nowego - rzekła dyrektorka, częstując Susy herbatą.

- Czy wciąż jest taki ponury i stroni od innych?

- Tak, zmienił się bardzo. Pobyt w szpitalu stanowi tu oczywistą cezurę. I to mnie zastanawia.

Susy westchnęła.

- W szpitalu zetknął się z dziećmi, które mają normalnych rodziców.

Teraz westchnęła pani Harris.

- Rozumiem. Ale na to niewiele możemy poradzić. Rozmawiały jeszcze dość długo, ale nie doszły do żadnej konkluzji. Postanowiły jedynie, że ich spotkania będą częstsze i bardziej regularne. Mimo wszystko, kiedy Susy żegnała się z dyrektorką, czuła wielką ulgę. Już sam kontakt z tą dobrą i pełną poświęcenia kobietą działał na nią kojąco.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Koktajlowe przyjęcie w hotelu Atlantic osiągnęło półmetek, kiedy raz jeszcze posypały się toasty i gratulacje. Ożywione towarzystwo rozmawiało w grupach, a kelnerzy dbali, by nikt nie trzymał w ręku pustego kieliszka. Świętowano rzecz niebagatelną. Miasto miało wreszcie oddział pediatryczny na poziomie prawdziwie europejskim.

Łan Frenais podszedł do córki, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

- Nareszcie! Dlaczego tak późno?

- Utknęłam w korku. Przykro mi, że się spóźniłam.

- Nie przejmuj się. Chodź, przedstawię cię kilku osobom.

Zaprowadził Susy do dość licznej grupki przy oknie i dokonał prezentacji. Wszystkie twarze uśmiechały się do niej, ale były to twarze obcych lub prawie obcych jej ludzi. Dopiero twarz Rossa podziałała niczym łyk szampana. Ubrany był w srebrzystoszary garnitur, białą koszulę w błękitne paski i krawat z wyhaftowaną na niebieskim tle mewą. Susy zrobiło się nagle lekko i radośnie na duszy.

Ten jej szampański nastrój poprawił jeszcze Marc, który niespodziewanie pojawił się u jej boku.

Odtąd też nie odstępował jej ani na krok, za co była mu ogromnie wdzięczna.

Po jakiejś godzinie, kiedy impreza już wygasła, Marc pochylił się do ucha Susy.

- A co byś powiedziała - zapytał ścisłym głosem - gdybyśmy urwali się stąd i zjedli gdzieś wspólnie obiad?

Pomysł wydał jej się przedni. Spojrzała na pograżonych w rozmowie Rossa i Rebecę.

- Pożegnam się tylko z rodzicami.

Kiedy jednak opuścili salę i znaleźli się w hotelowym holu, okazało się, że tamtych dwoje pomyślało dokładnie o tym samym.

- Marc! Susy! - usłyszeli za sobą głos Rossa, który zmierzał ku nim szybkim krokiem. Rebecca ledwie za nim nadążała. - Gdzież to uciekacie? Szukaliśmy was. Może byśmy wybrali się gdzieś wspólnie na obiad?

Marc nie krył swego entuzjazmu.

- Co wy na to, dziewczęta?

Susy i Rebecca z uśmiechem kiwnęły głowami, po czym Ross zaraz pobiegł po taksówkę.

W wyborze lokalu pomógł im taksówkarz, który zaproponował słynną ze swej kuchni restaurację na drugim końcu miasta.

Nie rozczarowali się. Z niewielkiego podwyższenia płynęły dźwięki fortepianu. Na parkiecie tańczyło kilka par.

Jednak pogodny nastrój Susy prysnął już dawno. Wołałaby znaleźć się tutaj tylko w towarzystwie Marca. Rebecca drażniła ją. Zachowywała się wobec Rossa bardzo zaborczo. A w tej chwili, gdy już kończyli obiad, wydawała się tylko znudzona.

- Ross, a może byś tak zaprosił mnie do tańca? Pomysł ten spodobał się również Marcowi. Skłonił się przed Susy. Wygrywana cicho melodia przypominała walca. W pewnym momencie Marc zapytał: - I jak się bawisz?

- Całe wieki już nie tańczyłam. Bardzo szykowne miejsce.

- Czy Rossa i Rebecce łączą jakieś szczególne więzy?

Susy odruchowo spojrzała w bok. Tulili się do siebie w tańcu, jakby nie tyle więzy, co klej łączył ich ze sobą.

- Nie mam pojęcia, Marc.

- Jest prosty sposób, żeby poznać prawdę! - oznajmił i zaproponował Rossowi wymianę partnerek.

W tym samym momencie do fortepianu dołączył saksofon i popłynęła senna melodia popularnego niegdyś utworu Nat King Cole'a „Smoke gets in Your Eyes”.

Susy uświadomiła sobie, że dotyka Rossa całą powierzchnią ciała.

- Szałowo wyglądasz w tej czarnej sukience, opiętej jak rękawiczka - powiedział nagle do niej.

Lekko się zarumieniła.

- Niebezpieczny z pana flirciarz, doktorze Beau-maris.

Zrobił wielkie oczy.

- Ja? Człowiek bez reszty oddany swej pracy?

- Toteż staje się pan flirciarzem dopiero po opuszczeniu szpitala.

Pocałował ją w czoło.

- Twoje boskie perfumy! Godne najpiękniejszych! Susy zachichotała.

- Oto dowód, że trafiłam w dziesiątkę. Minutę temu to samo mówiłeś do swojej poprzedniej partnerki. Tańczyłam obok i dobrze słyszałam.

W jego oczach zabłyśły diabelskie ogniki.

- Susy Frenais, tokowałem tylko dlatego, by wzbudzić w tobie zazdrość!

- Zabawne! Bo ja również szeptałam Marcowi słodkie słówka, by wzbudzić w tobie zazdrość!

- Wobec tego wiesz chyba, co powinniśmy teraz zrobić?

- Nie.

- Uciec stąd jak najdalej. Spójrz tylko! Wszystko na to wskazuje, że Marc i Rebecca są zadowoleni ze swego towarzystwa. Wychodzą teraz na balkon. Wiadomość zostawimy na stoliku. Co ty na to?

- Dlaczego nie? Chodźmy, zanim się nie rozmyślimy.

Pojechali do wytwornego nocnego klubu, jednego z tych lokali, które otwierane są przed północą, a zamykane nad ranem. Przygaszone światła nadawały wnętrzu charakter rozkosznego azylu, a zmysłowa muzyka zapraszała nie tyle do tańca, co do chybotliwego stania w uścisku na niewielkim parkiecie. Wszystko tu było urządzone z myślą o erotycznym wabieniu.

- Czy naprawdę trafiliśmy do właściwego miejsca? - zapytała Susy, kiedy siadali przy małym stoliku.

Ross zamówił wino.

- Nie obawiaj się. Nie jesteśmy w melinie szturmowanej co noc przez brygadę do walki z narkomanią, prostytutką i przestępczością w ogóle.

Roześmiała się i ten uśmiech zupełnie odmienił jej twarz.

- Ross, wariacie! Tu naprawdę jest ekscytująco! - Rozejrzała się po sali. Połączone meble, bogato ubrane kobiety, muzycy w smokingach. - Nawet nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zjawił się tutaj jakiś przystojny prywatny detektyw.

- Rozczaruję cię. Jestem członkiem tego klubu od dobrych kilku lat i żadnego przystojnego detektywa ani policjanta nie widziałem na oczy. Wielki Boże! Widzę za to moją eks-małżonkę! Tamta brunetka w kremowej wieczorowej sukience. Obok niej siedzi jej aktualny przyjaciel. Nie zauważyli nas jeszcze. Ale prędzej czy później to nastąpi. Czy w takim razie zmieniamy przystań?

- Oczywiście, że nie! - odparła Susy, zerkając na kobietę, o której tyle słyszała.

Ale Ross ani myślał psuć sobie tego wieczoru. Po chwili stali już na chodniku, czekając na taksówkę.

- A może zgodzisz się wpaść do mnie na drinka? Mieszkam niedaleko.

Zaczęła się jąkać, a on wybuchnął śmiechem.

- Proponuję drinka. Nie kierują mną żadne inne ukryte motywy. Słowo.

- Nie w tym rzecz, Ross - powiedziała, dziwiąc się samej sobie, że tym razem jej głos brzmi całkiem normalnie. - Ostatecznie, przestałam już być tatusiową córeczką.

Nadjechała taksówka i w ciągu kilku minut znaleźli się przed ceglany piętrowym domem na końcu wysypanej zwirom alei. Dom miał białe frontowe drzwi i otoczony był strzelistymi sosnami, które jak gdyby

chroniły go przed uderzeniami wiatru od morza. Pokoje urządzone z myślą o wygodzie i odpoczynku. Ross wprowadził Susy do niewielkiego salonu.

- To moja „nora”. Miękkie fotele, dobre książki i szafka pełna różnych alkoholi.

Zauważyła na ścianach rząd olejnych obrazów. Przedstawiały okręty pod pełnymi żaglami. Na stole w wazonie czerwieniły się róże.

- Fajna ta twoja „nora”. A najfajniejsze są te stare okręty.

- Ja też je lubię. Wina?

Usiedli wygodnie i pograżyli się w rozmowie na temat domu. W końcu Ross zdecydował się usprawiedliwić:

- Przepraszam, Susy, że przymusiłem cię do tej ostatniej ucieczki, ale znam Miriam. Na pewno mielibyśmy ją na karku. Pomyślałem więc, że mogłaby to być dla ciebie zbyt ciężka próba. Pamiętaj, że Miriam nie musi rano wstawać i chodzić do pracy.

- Stało się i, mam wrażenie, stało się dobrze.

- A jak ci się podobało nasze przyjęcie?

- Bardzo. Siostra Mason puściła mnie dość wcześnie. To bardzo miła i czynna osoba.

- Wychowuje dwóch draniowatych chłopaków, z którymi ma krzyż pański.

- Jakże mi przykro. Nie wiedziałam.

- Uśmiech często jest tylko maską skrywającą nieszczęście - powiedział z zamyśloną miną, po czym zmienił temat: - Bardzo męczy cię trema przed piątkowym przesłuchaniem? Wszystkie twoje papiery już dostaliśmy. Masz duże widoki na tę pracę.

- Dziękuję, Ross. Lecz nie chcę żadnego ulgowego traktowania - zastrzegła się z twardą nutą w głosie.

- Jeżeli bardzo chcesz tej pracy i wierzysz we własne siły, ulgowe traktowanie nie będzie potrzebne.

Wziął jej pusty kieliszek, napełnił go winem i usiadł przy niej na kanapie.

- Proszę... Uroczo dziś wyglądasz, Susy. Uśmiechnęła się.

- Przyznaję, że nie przywykłam do tego rodzaju komplementów.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Myślę, że zaliczasz się do tych rzadkich istot, które potrafią przejść przez bolesny zawód z godnością i wiarą w lepsze jutro.

Chyba wypila zbyt dużo alkoholu, gdyż łzy napłynęły jej do oczu, a wargi zadrżały.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, Ross, że dajesz mi tak wysoką ocenę. Ale... ale...

- Nadal nie była zdolna powiedzieć mu o Patricku.

- Przepraszam, czuję się trochę nie w formie.

Wyjął z kieszeni równo złożoną chusteczkę i z czułością wytarł jej oczy, jakby była dzieckiem.

- Tak, miałaś ciężki dzień - rzekł, muskając wargami jej usta.

- Ross - wyszeptała - jesteś takim cudownym przyjacielem.

- Masz nas dwóch. Mnie i Marca. Obaj życzymy ci jak najlepiej. Aleja ponadto uważam, że powinnaś odepchnąć od siebie smutną przeszłość i pewnego dnia znowu się zakochać. To jest recepta, którą ci przepisuję. - Podniósł się z kozetki. - A teraz idę zadzwonić po taksówkę. Jesteś zmęczona, więc miłość może trochę poczekać.

Zapłaciła taksówkarzowi i poszła wolnym krokiem w kierunku domu. Na środku podwórza zatrzymała się i spojrzała w górę, ku aksamitnemu niebu. Świecił księżyc, migotały odległe gwiazdy. Zapach pól, ogrodów i morza unosił się w powietrzu. Wszystko spało, tylko gdzieś w sąsiedztwie zaszczekał pies.

Nagle w nocnej ciszy dał się słyszeć szum silnika. Przybierał na sile. Ktoś jechał od strony miasta. Już dostrzegła odbłask światła na drodze i drzewach. Pchnięta przecuciem, rzuciła się w kierunku bramy. Dobiegła do niej akurat w chwili, kiedy szare BMW zatrzymało się i wysiadła z niego mężczyzna.

- Ross! - wykrzyknęła. - Co się stało?

- Czysta skleroza! I to w moim wieku! Dziś na przyjęciu twój ojciec dał mi klucz do garażu, prosząc, bym przekazał go tobie. Po prostu po dzisiejszej fecie chce dłużej sobie pospać, a wie, że jutro wstajesz wcześniej. I dopiero po twoim odjeździe przypomniałem sobie o tym kluczu.

- Dziękuję - wyszeptała, wciąż wpatrując się w niego jak zahipnotyzowana.

- Mój Boże, ależ ty pięknie wyglądasz. - Poglądził ją po policzku. - Przyćmiewasz swoją urodą gwiazdy na niebie.

Wiedziała już, że przegrała tę walkę. Skończyły się wahania i strach. Teraz wszystko zależało wyłącznie od niego.

- Światło księżycy daje złudne obrazy...

- Nie w tym wypadku...

Wziął ją w ramiona i pocałował. Zamknęła oczy. Poczuła w sobie wielką ociężałość. Nogi miała jak z waty.

Świadomy tego czy nie, Ross jednak bardziej kontrolował siebie.

- Samym swoim widokiem, Susy, potrafisz zawrócić człowiekowi w głowie. Wiesz, jak w tej chwili wyglądasz? Ta czarna sukienka powoduje, że prawie nie widać zarysów twojej postaci. Z ciemności wyłaniają się tylko twoje dłonie i twarz. I nogi, gdy spojrzeć niżej.

- Przerażający widok! Zupełnie jak z horroru. - Wzięła klucz, który jej podała. - Dziękuję za cudowny wieczór, Ross.

- Dobranoc, Susy. Śpij dobrze. - Otworzył drzwi samochodu. - A jednak w czarnym" bardzo ci do twarzy.

Na drugi dzień przed jedenastą Susy zajrzała do panny Aldridge, aby zamienić z nią kilka słów o jutrzejszym przesłuchaniu. W trakcie rozmowy wynikła kwestia znalezienia zastępstwa na czas jej nieobecności. Siostra Mason miała jutro wolne, pozostawała więc tylko Julia, tym bardziej że panna Aldridge uznała, iż Julia da sobie radę równocześnie na internie i ortopedii.

Obie przyjaciółki spotkały się godzinę później w barze.

- Pewnie, że dam sobie radę - powiedziała Julia.

- Ale wróćmy do wczorajszego przyjęcia. Zauważyłam, że ty, Marc, Ross i Rebecca wyszliście gdzieś razem. Opowiadaj, co się stało później.

Susy roześmiała się.

- Żadnych sensacji. Po prostu zjedliśmy wspólnie obiad.

- I? - Julia była kobietą z krwi i kości, czyli istotą bardzo ciekawską.

- Nie było żadnego „i”, Julio. Potem każde z nas poszło swoją drogą.

- Lecz obok ciebie, domyślam się, kroczył ten amerykański olbrzym. - Julia wybuchnęła śmiechem.

- Susy, naprawdę nie musisz się płonąć. Bądź co bądź, skończyłaś już osiemnaście lat. Mam nadzieję, że mile spędziliście ten wieczór.

W pierwszym odruchu Susy chciała powiedzieć Julii całą prawdę. Lecz gdy pomyślała o pocałunku w świetle księżyca, coś ją przed tym powstrzymało.

Julia, będąc osobą ciekawską, nie była na szczęście natrętna.

- Czy już wspomniałam ci o jakimś Robercie Sloanie? - zapytała, przeskakując na inny temat.

- Nie.

- Otóż ten młody człowiek, świeżo upieczony absolwent medycyny i od niedawna pracownik naszego szpitala, omal że nie utonął w pobliżu waszego domu. Wybrał się w morze małą łodzią z wiosłami. Nagle zaczął się przypląd i mocno powiało od strony Atlantyku. Jego łódź przewróciła się. Próbował dostać się do brzegu wpląd, ale fale rzuciły go o skały. Na

szczęście w pobliżu przepływał Ross i uratował nieszczęśliwca, który już ledwie zapał. - Uśmiechnęła się.

- Kłopot ze Sloanem polega na tym, że uważa się za Romea, pogromcę serc niewieścich. Boże, jakim afektowanym stylem on mówi!

- A jak wygląda?

- Wysoki blondyn, dość starannie ubrany. Prędzej czy później natkniesz się na niego. - Spojrzała na zegar ścienny. - Muszę uciekać. Obawiam się, że dziś panna Aldridge dokona inwazji na nasz oddział.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ross zjawił się na oddziale później niż zazwyczaj. Susy spojrzała na krwawy ślad zacięcia na jego policzku.

- Cześć, Susy! Wyglądasz świeżo jak majowa stokrotka. Wiem, wiem! Zaczęłam ten dzień fatalnie. Maszynka nawaliła i musiałem sięgnąć po zwykłą żyletkę.

- Ross-pechowiec! - Roześmiała się. - Choć innym zdarzają się większe nieszczęścia.

- Przypuszczam. Czy gotowa do jutrzejszego przesłuchania?

- Całkowicie pod bronią - potwierdziła mocnym głosem.

- Dzielna dziewczynka! - Rzucił okiem na swoją twarz w lustrze. - Jasny gwint! Wyglądam jak po bójce na noże. Bądź kochana i daj mi na watce trochę spirytusu.

Ta prośba była właściwie zbędna, bo już otwierała oszkloną apteczkę. Sam zabieg trwał sekundę.

- Ta blizna... Skąd ją masz?

- Prezent od Miriam. Pewnego razu wpadła na pomysł, by cisnąć we mnie szklanką, z której piła brandy. Pech chciał, że trafiła. Natomiast za to delikatne dotknięcie, które jeszcze czuję, stokrotne dzięki. Będę o nim pamiętał przy jutrzejszym przesłuchaniu!

- Doktorze Beaumaris! Bo zmienię zdanie i zacznę szukać pracy gdzie indziej!

- Dobrze już, dobrze. - Westchnął pełną piersią. - Będę surowy jak sędzia trybunału. A teraz idę do pewnej małej dziewczynki o imieniu Merry. Z nocnego raportu wynika, że spała sobie smacznie. Chodź ze mną, Susy.

Dzieciaki na ortopedii powitały ich chóralnym „dzień dobry”.

Podeszli do łóżka przy oknie. Trzyletnia kruszynka o lnianych włosach wpatrywała się w nich z napięciem w oczach.

- Cześć, Merry - pozdrowił ją Ross. - Co to za piękną książkę widzę na twojej szafce? Kto ci ją kupił? Sam przepadam za takimi trójwymiarowymi, rozkładanymi obrazkami.

- Kupiła mi ją mamusia. A jeśli będę grzeczna, dostanę jeszcze jedną.

Ross pogładził dziewczynkę po główce.

- Domyślam się, że postanowiłaś być bardzo, bardzo grzeczna. Czy tęsknisz już za domem?

Niebieskie oczęta rozbłysły.

- Tak, panie doktorze.

- W takim razie pomyślmy o tym, żebyś jak najszybciej do niego wróciła. Jutro porozmawiam o tym z twoimi rodzicami.

Ross odwrócił się ku Susy, a kiedy odeszli na stronę, powiedział:

- Uważam, że nie ma jakichkolwiek przeciwwskazań. Rentgen nie wykrył żadnych pęknięć w kościach czaszki. Nie ma również typowych objawów wstrząsu mózgu. Analizy w normie. Biorąc to wszystko pod uwagę, dom będzie najlepszy. Ustalę tylko z rodzicami, żeby przy pierwszych oznakach pogorszenia, gdyby takowe wystąpiły, natychmiast przywieźli ją do szpitala. A teraz sprawdźmy, co z naszym huncwotem.

Podeszli do łóżka Kevina.

Chłopiec powitał ich promiennym uśmiechem. Odłożył grę elektroniczną.

- No, Kevin, widzę, że jesteś w dobrym humorze - powiedział Ross, racząc malca żartobliwym szturchańcem. - To chyba dlatego, że wracasz niedługo do domu.

- Tak, panie doktorze. A kiedy wrócę, mama zabierze mnie do Robina.

- Ty będziesz odwiedzał przyjaciół, ciebie zaś codziennie w przeciągu dwóch najbliższych tygodni będzie odwiedzała pewna pani, która nauczy cię, jak ćwiczyć szyję, żeby ten kołnier ortopedyczny, który nosisz, nie był już potrzebny. Więc jak, wpuścisz ją, kiedy zadzwoni?

- Jasne, panie doktorze! I nawet wiem, jak ta pani się nazywa. Fizjo... fizjo...

- Fizjoterapeutka - odpowiedziała mu Susy ze śmiechem.

Przeszli do następnego łóżka, a potem znowu do następnego, gdyż każde dziecko wymagało chwili uwagi i jakiegoś ciepłego słowa. W końcu Ross odszedł, Susy zaś zajęła się zwykłą krzątaniem. Dziś jednak musiała przyznać, że trudno jest jej skoncentrować się nawet na najprostszych czynnościach. Myślała o jutrzejszym przesłuchaniu. To nie była tylko kwestia wiary w siebie. Chciała udowodnić zarówno ojcu, jak Rossowi, że czuje się na siłach podołać każdemu, najtrudniejszemu nawet zadaniu.

Wysoko ponad budynkiem szpitalnym przeleciał samolot. Stłumiony odległością huk silników uświadomił Susy, że za kilka dni wyjeżdżają jej rodzice. Dom zresztą już zaczął pogrążyć się w chaosie, jakby nie tyle wybierali się na urlop, co przeprowadzali do Australii. Głęboko zamyślona wyszła na korytarz.

Nagle usłyszała tuż przed sobą męski, teatralnie brzmiący głos:

- Czy ja śnię? - Młody mężczyzna w białym kitlu spoglądał na nią z otwartymi ustami. - Co to za niezwykłe zjawisko snuje się korytarzem? Czyżby zabłądziła pani w tym labiryncie?

Susy w lot domyśliła się, z czyich ust wychodzą te szekspirowskie kwestie. Na szczęście Julia zdążyła ją w porę ostrzec. Stał przed nią Robert Sloan. Uprzejmie się uśmiechnęła.

- Witam! I jak panu się u nas podoba?

Sądząc z miny, poczuł się trochę zaskoczony jej rezerwą.

- Pewnie słyszała już pani, że jestem jedynym na tej wyspie przykładem „życia po życiu”. Utonąłem, czy też utonąłbym, gdyby nie doktor Beaumaris. Zawrócił mnie prawie z tamtego świata. - Jego szare oczy przeskakiwały z jej ust na tabliczkę identyfikacyjną. - Susy, co za piękne imię! Dobry los chciał, że pomyliłem piętra i mogłem panią spotkać.

- Proszę mi wybaczyć, ale bardzo się śpieszę. Na pewno się jeszcze spotkamy.

Kiwnęła mu głową na pożegnanie i już po pięciu minutach zapomniała o tym drobnym incydencie.

Jadąc do domu, myślała o Rossie, jego osobistym uroku, dowcipie i miłości do dzieci. Byłaby zwykłą obłudnicą, gdyby wypierała się, że fascynuje ją również jego ciało. Wiedziała, że Ross nie zastosuje do niej jutro taryfy ulgowej. I nie dlatego, że go o to usilnie prosiła, ale że prawość i uczciwość stanowiły fundament jego charakteru.

W godzinę po jej powrocie zadzwonił Marc.

- Przepraszam, że odzywam się dopiero teraz, ale byłem przywalony obowiązkami. Nie zapomniałem jednak o twoim jutrzejszym „być albo nie być”. Więc może byśmy wybrali się do jakiejś cichej knajpki? Obiecuję, że odstawię cię do domu o przyzwoitej porze.

- Doby pomysł Marc. Ty zresztą miewasz, tylko dobre pomysły.

- Dzięki. Będę o siódmej.

W kwadrans po Marcu zadzwonił Ross.

- Czy chciałabyś oderwać myśli od jutrzejszego przesłuchania? Można to osiągnąć różnymi sposobami, ale ja proponuję wspólny obiad.

- To bardzo miłe z twojej strony, Ross, ale jestem już umówiona. Przykro mi.

- Obawiałem się tego - rzekł z zauważalną zmianą w głosie. - Domyślałem się, że to Marc.

- Tak, ale...

- Nie ma sprawy. Baw się dobrze. Na razie. Pożegnał się tak zimno, jakby celowo chciała mu sprawić przykrość. Czyż zresztą łączyło ich coś więcej niż tylko serdeczna przyjaźń? Usprawiedliwieniem zazdrości jest miłość, a przecież między nimi nic jeszcze takiego nie zaszło, co by

tłumaczyło użycie tego słowa. Dwa czy trzy pocałunki? Przyjaźń między kobietą a mężczyzną chyba nie może bez nich się obyć?

Kiedy pojawił się Marc, ustalili wspólnie, że najlepsza będzie restauracja w jego hotelu. Susy zdążyła już polubić jej kuchnię i duże panoramiczne okna.

Marc zaczął rozmowę od sensacyjnej wiadomości.

- Wiesz, wkrótce wracam do Stanów. Niestety, mój pobyt tutaj będzie krótszy, niż myślałem.

- Jaka szkoda, Marc. Czy Rebecca wie już o tym? Zmarszczył czoło.

- A co ona ma tu do rzeczy?

- Cóż, myślałam, że zbliżyliście się - wybąkała, sama nie wierząc w to, co mówi.

- Mylisz się, skarbenku. Powinnaś wiedzieć, że jestem mężczyzną jednej kobiety. Powiedz mi lepiej kilka słów o Robinie.

- Z jego zdrowiem wszystko w porządku, ale jakby wygasła w nim ta przebój owość, której kiedyś miał nawet w nadmiarze.

- Rozumiem. Biedny chłopaczek. Do kawy napili się ziołowego likieru.

- Nie zapominaj, Susy - rzekł Marc, odstawiając kieliszek - że miłość czeka tuż za rogiem i zawsze można ją spotkać, kiedy się bardzo tego chce.

Sporzrzała na niego z pobłażliwym uśmiechem.

- Nie sądzę, Marc. Wiesz lepiej od innych, że powinna to być prawdziwa miłość, a ta na tym świecie pozostaje nadal rzadkością.

Marc odprowadził ją do samych drzwi domu.

- Powal ich jutro na łopatki, dziewczyno - rzekł, całując ją w czoło. - Wiem zresztą, że dokonasz tego.

- Dziękuję, Marc. Przyniesiesz mi szczęście.

- Jasne! Bywaj.

Następnego dnia rano, ubrana w klasyczną jedwabną, beżową sukienkę, którą wkładała tylko na specjalne okazje, Susy zeszła na dół, żeby pokazać się matce i uzyskać jej aprobatę.

Spoglądając na córkę, jej gładko zaczesane do tyłu włosy oraz błyszczące determinacją oczy, Dorothy Frenais poczuła, że jej piersi rozpira duma i macierzyńska miłość. A potem stała w drzwiach i machając na pożegnanie ręką patrzyła, jak Susy odjeżdża. Nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Żadną miarą w tej chwili nie mogła powiedzieć jej, że godzinę temu otrzymała z sierocińca wiadomość, iż pewne bezdzietne małżeństwo zgłosiło chęć zaadoptowania Robina.

Przesłuchanie było skończone. Krótka przerwa, podczas której komisja się naradzała, i Susy ponownie została wezwana przed rząd zyczliwie

uśmiechniętych twarzy. Poinformowano ją, że wygrała konkurs i może już od jutra podjąć pracę na ustalonych przepisami warunkach. Opuściła salę, uskrzydłona radością i satysfakcją. Wciąż myślała o zadanych jej pytaniach. Te najtrudniejsze bądź najbardziej podchwytliwe otrzymała od ojca i Rossa. To wykluczało podejrzenia o nepotyzm. Wygrała tę walkę w czystym stylu, tak jak to sobie przyrzekła.

Na korytarzu dogonił ją Ross.

- Susy, dobra robota! Moje najlepsze gratulacje.

- Chwycił jej dłoń i zaczął nią gwałtownie potrząsać. Jego wczorajsza zimna rezerwa znikła bez śladu.

- Może opijemy to filiżanką herbaty?

- Ross, to miłe z twojej strony, ale śpieszę się do domu.

- W takiej chwili? Wybierz choć raz przyjemność kosztem obowiązków.

- Nie mogę. Obiecałam Robinowi, że wypuścimy się gdzieś razem.

- Dzisiaj? - Spochmurniał i nerwowo przejechał dłonią po włosach.

- Tak - odparła, zaskoczona zmianą, jaka zaszła w jego zachowaniu. -

Chyba nie planujesz go odwiedzić? Bo jeśli tak...

- Posłuchaj, Susy... Ale najpierw usiądźmy na tych krzesłach...

Wspomniałaś o Robinie, więc muszę ci coś powiedzieć.

- Czy znów zachorował? - zapytała z niepokojem.

- Oczywiście, że nie. Chodzi o sprawę adopcji. .

- Och, nie! A już wydawało się, że mamy to za sobą. Dyrektorka ostatnio zapewniała mnie nawet, że odzyskuje dawny humor i werwę.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Susy, posłuchaj mnie przez chwilę. Chodzi o coś zupełnie innego. Pewne bezdzietne małżeństwo zgłosiło chęć adopcji chłopca. Dyrekcja sierocińca zrobiła rutynowy wywiad. Z uzyskanych informacji wynika, że są to ludzie przyzwoici i dobrze sytuowani. Teraz dziecko i przyszli jego rodzice muszą się poznać. Jak wiesz, trwa to raczej długo, bywa, że i dwa lata, lecz ten proces zespalandia z nowym rodzinnym środowiskiem musi kiedyś się zacząć. Właśnie nadeszła ta chwila. Wiem, jak wiele Robin dla ciebie znaczy, ale im szybciej ty i on przyzwyczaiacie się do myśli o rozstaniu, tym lepiej dla was obojga.

Była do głębi wstrząśnięta. Nie myślała dotąd, że ktoś mógłby zabrać jej Robina.

- Dziękuję, Ross. Dobrze się stało, że to ty właśnie powiedziałeś mi o tym.

Być może zbyt przywykłam do myśli, że jestem dla Robina najważniejszą osobą. - Łzy pojawiły się w jej oczach.

- W sytuacji, jaka się wytworzyła, musisz zacząć stopniowo usuwać go ze swojego serca i myśli. Najlepiej by było, gdyby nawet nie zauważył, kiedy stanie się dzieckiem przybranych rodziców.

Zagryzła wargi. Uciekła wzrokiem w stronę okna. Przez chwilę milczeli.

- A więc dziś wielka feta! - rzekł nagle z wymuszoną wesołością. - Dostałaś pracę i powinnaś się uśmiechać. Uśmiech na twarzach moich pracowników jest równie podstawowym wymogiem, co zadbane paznokcie.

Wdzięczna mu była za jego wyrozumiałość.

- Prawdę mówiąc, ojciec i matka chcą mnie dzisiaj gdzieś zabrać. Jutro wyjeżdżają i zamierzają spędzić ten wieczór bardziej uroczyście.

- Zaslugują w pełni na udany urlop. Obym tylko w czasie nieobecności lana zdołał utrzymać w korbach pewnego niesfornego stażystę. Niejakiego Roberta Sloana.

Spojrzenie Susy ożywiło się. - Domyślam się, że mówisz o tym niedoszłym topielcu. Czy to bardzo kłopotliwy gość?

- Gorąca młoda krew. Potrzebuje lejców i bata. Susy uśmiechnęła się. Ten Robert Sloan będzie musiał bardzo uważać, żeby nie narazić się Rossowi.

Gdy w godzinę później zajęchała przed dom, na jej spotkanie wybiegła matka.

- Moje gratulacje, kochanie. Ojciec już wrócił i wiem wszystko. Również i to, że Ross wspomniał ci o nowych faktach związanych z Robinem. Tak chyba będzie dla chłopca najlepiej.

W salonie łan Frenais kończył właśnie rozlewać szampana, a gdy podeszły do stołu, wznosił toast:

- Za nowy początek, Susy!

- Doskonale! Brawo! - zawołała Dorothy. - Stało się, przeminęło i jesteś znów naszą dawną córeczką! Szkoda, że nie widzą cię dzisiaj twoi przyjaciele z Belfastu. To mi przypomina, że przyszedł list od rodziców Patricka. Zniosłam go do twojego pokoju.

- Dziękuję, mamo. Przeczytam go później. A teraz za wasz udany urlop!

Kiedy nazajutrz Susy pojawiła się w szpitalu, pierwsze kroki skierowała do panny Aldridge. Przełożona wyczarowała w jednej chwili kawę i ciasteczka. Słuchając jej, Susy powoli wyzwaliała się z nerwowego napięcia, w jakim znajdowała się od rana.

- Biurokracja ma swoje prawa, Susy - mówiła panna Aldridge. - Twoje przeobrażenie z ochotniczki w opłacaną pielęgniarzkę pociąga za sobą pewne istotne zmiany, zarówno w zakresie form, jak i merytorycznych wymagań. Nie wchodząc na razie w szczegóły, dobrze byłoby porozmawiać najpierw o

takich istotnych rzeczach, jak regulamin, godzinowy wymiar pracy, stosowny ubiór, wynagrodzenie i tym podobne. Później oprowadzę cię po szpitalu i przedstawię paru osobom, z którymi w przyszłości tak czy inaczej będziesz musiała wejść w kontakt.

Po tym ogólnym wstępie panna Aldridge przeszła do omawiania z osobna każdej kwestii, by na koniec skupić się na takich szczegółach, jak na przykład kolor i wzór pościelowej bielizny u najmłodszych pacjentów. Słowem, po rozmowie z nią Susy miała właściwe pojęcie o sprawach, zaś przestrzeń wokół niej stała się jakby bardziej przejrzysta. Poczula się pełnoprawnym członkiem zespołu.

A potem wszystko potoczyło się zwykłym trybem. Ranne wstawania, późne powroty, dni zajęte pracą w szpitalu i w domu, gdyż teraz, kiedy rodzice byli na drugiej półkuli, musiała przejąć gospodarskie obowiązki matki. W tym kołowym omal nie zapomniała o swoich urodzinach. Za cztery dni kończyła dwadzieścia sześć lat. Było to dużo i mało zarazem. Pomyślała o Rossie. Zmienił się nie do poznania. Tydzień temu odnosił się do niej z przyjazną serdecznością, dziś mroził ją chłodną rezerwą szefa zespołu. Sam ustanowił ten dystans i sam go pogłębiał. Susy usiłowała wmówić sobie, że jest na to całkiem uodporniona, jednak wspomnienie tamtych pocałunków i dowodów czułości napełniało ją smutkiem i niepokojem.

Tego dnia Susy specjalnie wybrała się na poszukiwanie Julii, aby obgadać z nią swoje urodziny. Natknęła się na przyjaciółkę w szpitalnym barze.

- Co powiesz na pomysł, żebym zaprosiła cały szpital? Kto będzie chciał i mógł, ten przyjdzie.

- Wspaniale! A ja z kilkoma dziewczętami zajmę się wyzerką. Mogę też porozmawiać z Johnem, by przyprowadził trzech swoich kumpli od badmintonu. Rzecz w tym, że grają w jakimś zespole muzycznym.

Oczywiście, wszystko zależy od tego, czy planujesz tańce.

- Jasne! Tylko chwileczkę... Moje urodziny przypadają w sobotę, a wiem skądinąd, że weekendy zespoły muzyczne mają zajęte.

- Niech cię głowa o to nie boli. Facetom zależy, żeby John zapewnił im udział w głównych rozgrywkach badmintonu, więc rzucają wszystko, aby go tylko ugłaskać.

- W takim razie zostawiam wam oprawę muzyczną. I wpadnij do mnie jutro po pracy, to wspólnie sporządzimy listę gości.

Susy wróciła na oddział i natychmiast została wezwana do sali operacyjnej. Ross skończył właśnie skomplikowany zabieg na

zgruchotanym łokciu u sześciolatniego chłopca i chciał, żeby Susy uczestniczyła czynnie w dalszym etapie unieruchamiania ręki. Było oczywiste, że chodzi mu nie tyle o jej pomoc, co o to, żeby po długiej przerwie rzucić ją od razu na głęboką wodę, włączyć do najtrudniejszych zadań.

Kiedy gips został założony, a pacjent odwieziony na salę, Ross zaprosił Susy do swego gabinetu.

- Chciałbym wiedzieć, Susy, czy te pierwsze dni nie kosztują cię zbyt wiele wysiłku?

- Nie sędzę. W każdym razie nie wracam do domu na ugiętych nogach.

- To dobrze. Zresztą w każdej chwili możesz zwrócić się do mnie, a ja już zadbam o to, żeby ujęto ci obowiązków.

- Dziękuję, Ross. Na dzisiaj jednak jestem optymistką.

- Dzielna dziewczynka. Mimo wszystko nie szarżuj zbyt.

Skwitowała jego radę uśmiechem.

- Skoro już mowa o mnie, to w najbliższą sobotę obchodzę urodziny i zapraszam do siebie cały personel. Ciebie również. Więc postaraj się przyjść i wypić za moje zdrowie lampkę wina. Bądź co bądź, kończę dwadzieścia sześć lat!

- Doprawdy, bardzo poważny wiek! Nie sposób nie uczcić takiej chwili. W tej sytuacji przed odwiedzeniem cię nie powstrzymałyby mnie nawet mury więzienia.

Roześmiała się i spojrzała na zegarek.

- Wybieram się dzisiaj do Robina.

- Czy już wyjaśniłaś wszystko z dyrektorką? - Żartobliwy ton w jednej chwili zastąpiła w jego głosie powaga.

- Tak. Wyraziła zgodę na kontynuowanie wspólnych wypadów. Skoro Robin ma w najbliższej przyszłości włączyć się do normalnego świata, niech robi to również w tej formie.

Kiedy Susy odeszła, Ross wstał i podszedł do okna. Patrząc na zachmurzone niebo, myślał o nich dwojgu - młodej kobiecie i chłopcu. Miał przecucie, że najbliższe dni i tygodnie nie przyniosą im szczęścia. Była jeszcze tajemnica tamtych zaręczyn, o których Susy nie chciała z nim rozmawiać, a które, wiedział to, pozostawiły w jej sercu jątrzącą się ranę. Biorąc to wszystko pod uwagę, spodziewał się poważnych komplikacji.

Mimo nie najlepszej pogody, wycieczka na plażę z Robinem okazała się bardzo udana. Objadali się łakociami, żartowali i obserwowali przez lornetkę nadmorskie ptactwo.

Robin był wyjątkowo rozmowny. Paplał na temat Sandry i jej przybranych rodziców przez blisko pół godziny. Nagle zapytał:

- Czy chciałabyś zostać moją mamusią, Susy?
- Nigdy nie byłam prawdziwą matką, Robin. Chcę przez to powiedzieć, że nie mam ani męża, ani dzieci.
- Ale przecież możesz wyjść za mąż, a potem mieć mnie. Dlaczego ciągle jesteś panną?

- Byłam zaręczona z pewnym mężczyzną, mieliśmy się pobrać, ale... ale w końcu zdecydowaliśmy inaczej.

- I dobrze. Bo bardzo cię kocham. Głośno przełknęła ślinę.
- Ci państwo, którzy chcą cię adoptować, robią to z miłości do ciebie.
- Tak, wiem, tylko że ja ich nie kocham. - Chwycił za lornetkę. - Ależ wielka mewa! Niesie w pazurach rybę! Ryba jeszcze się rusza!

Wróciwszy do domu, Susy natychmiast zatelefonowała do dyrektorki, żeby przekazać jej istotny sens rozmowy z Robinem.

- Sądzę, kochanie - powiedziała pani Harris - że martwimy się na zapas. Kiedy Robin dobrze pozna ludzi, którzy go kochają, na pewno zmieni swój stosunek do nich.

Kładąc się do łóżka, Susy gorzko żałowała, że nie ma przy niej matki, z którą mogłaby porozmawiać o dręczących ją sprawach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Późnym piątkowym popołudniem Susy odebrała na oddziale telefon. Lekarz dyżurny z Izby Przyjęć powiadał ją o przyjęciu nowej młodej pacjentki z podejrzeniem ropnego zapalenia kości. Objawy: ostry ból w lewym udzie oraz wysoka gorączka. Nazwisko: Wendy Moore. Wiek: osiem lat.

Na szczęście Rosa nie poszła jeszcze do domu i obie szybko uporały się z przygotowaniem łóżka.

Minutę później sanitariusz wwiózł chore dziecko.

- Jesteśmy, siostró. Obawiam się, że ta mała nie pozwoli pielęgniarkom z nocnego dyżuru ani na chwilę zmrzyć oka -powiedział niby to żartem tęgi mężczyzna.

Susy spojrzała badawczo na rozpaloną twarzyczkę dziewczynki.

- OK, John, przenieś ją na łóżko.

Temperatura, okazało się, była nie tyle wysoka, co wręcz mordercza. Słupek sięgał czterdziestu stopni. Rozszalały, nierówny puls sygnalizował ogromne obciążenie serca. Dziecko majaczyło. Z jego spierzchniętych, popękanych warg dobywały się jęki i niezrozumiałe słowa.

Susy poprosiła Rosę, aby położyła małej na czoło zimny kompres, sama zaś udała się na poszukiwanie doktora Beaumaris.

Spotkała Rossa na korytarzu w pobliżu sali operacyjnej. Opisała mu przypadek Wendy Moore, oceniając go jako bardzo poważny.

- Czy są rodzice?

- Nie. Z informacji, jakie otrzymałam z Izby Przyjęć, wynika, że przywiozła ją matka, ale musiała zaraz wracać do pracy. Zjawi się dopiero późnym wieczorem.

Potrząsnął głową.

- Wielka szkoda. Potrzebna nam jest dokładna historia choroby, tę zaś możemy zrekonstruować jedynie na podstawie wywiadu z rodzicami.

Stanęli przy łóżku wciąż majaczącej Wendy. Ross zbadał jej puls, po czym przestudiował przysłaną z Izby Przyjęć kartę.

- Zlecam natychmiastowe pobranie krwi w celu ustalenia poziomu hemoglobiny oraz wrażliwości organizmu na antybiotyki. Badanie powtórzymy, ale jest to kwestia dalszej przyszłości. Prześwietlenie nogi najwcześniej jutro, kiedy gorączka spadnie i minie szok termiczny. Tymczasem zaaplikuję jej coś łagodnego na sen. Antybiotyk, i to silny, zaraz po otrzymaniu wyników z laboratorium. Wpadnę jutro rano, być może będzie już wówczas historia choroby. A teraz, niestety, muszę już iść.

Przekaż siostrze z nocnego dyżuru, że matka może pozostać przy Wendy choćby i całą noc. Do zobaczenia jutro na urodzinach.

I taki jest właśnie zawód lekarza, pomyślała Susy, kiedy Ross znikł za drzwiami. Myśl o własnych przyjemnościach płynie tu równoległym nurtem ze współuczestnictwem w cudzym cierpieniu.

Przygotowania do urodzin zaczęły się w domu Susy już od sobotniego ranka. Jubilatka wraz z grupą przyjaciół rozwieszała kolorowe żarówki w ogrodzie, rozstawiała głośniki, sprawdzała jakość przyrządzonych potraw. Około południa wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Tuż po dwudziestej pierwszej zaczęli się zjawiać pierwsi goście. Nie minęło pół godziny, jak z pojedynczych osób powstał pokaźny tłumek. Zapowiadało się na całkiem huczną zabawę. Susy pocieszała się myślą, że dom rodziców stoi w pewnym odosobnieniu. Poszukała wzrokiem drogich sobie twarzy. Był Marc i Ross, Julia i John. Gdzieś w tle mignęła jak zawsze piękna Rebecca Cohen.

Marc wręczył jubilatce cały karton francuskiego wina.

- Najlepsze życzenia od całej naszej paczki! Wino rozwesela, w winie topimy frasunki, a ten wieczór ma być właśnie fajerwerkiem dobrego humoru. Pogoda nam sprzyja.

Ross zaraz uwolnił Susy od ciężkiego pakunku, po czym wręczył jej bukiet róż.

- Dziękuję, Ross. Są naprawdę piękne.

- Najważniejsze, że harmonizują kolorem z twymi rumieńcami. - Spojrzał za siebie. - Tamci trzej chłoptasie przyszli tu ze mną.

Najwyższy „chłoptaş”, Robert Sloan, wysunął się do przodu. Wręczył Susy przewiązaną kokardą bombonierkę.

- Nawet te czekoladki nie potrafią zrujnować tak ślicznej figury! - zadeklamował z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Serdecznie dziękuję, Robercie. Niemniej na wszelki wypadek będę wydzielać sobie jedną dziennie.

Goście wciąż napływali. Przyszła Hilary Mason, która od razu zakasała rękawy i stanęła u boku dwóch przyjaciółek Dorothy, starszych pań okupujących kuchnię.

Przechodząc z pokoju do pokoju, Susy rzuciła okiem na lustro wiszące na ścianie. Zobaczyła młodą kobietę w kremowych jedwabnych spodniach i czarnej luźnej bluzce. To była ona, ale zarazem jakby ktoś inny. Martini, które dotąd wypijała, zaczynało szumieć jej w głowie.

Natknęła się na Rossa, który najwidoczniej jej szukał.

- Susy, ludziska chcą, żebyś pokazała się na tarasie!

Zrobiła to i natychmiast spadł na nią deszcz życzeń, wiwatów, kwiatów i prezentów.

- Wejście godne diwy operowej - skomentował Ross, wciąż trzymając Susy za rękę. - Zatańczymy?

- Z miłą chęcią.

Przeszli na zaimprovizowany parkiet w holu i wykonali coś, co przypominało bardziej akrobatykę cyrkową niż taniec. Rytmy disco wciąż brzmiały. Dołączyło kilka par.

- A teraz do ogrodu - szepnął Ross do ucha partnerki.

Wymknęli się z domu, przebiegli trawnik i zatrzymali się pod rozłożystym kasztanem. Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem przyciągnął do siebie i pocałował. Poczwała na wargach ogień. Świat zawirował. Wiszące w ogrodzie kolorowe lampiony upodobniły się do chmury motyli.

- Czyż można wyobrazić sobie coś lepszego od urodzinowego pocałunku? - wyszeptał Ross. Od strony domu dobiegły ich liczne głosy. - Skoczę po drinki, bo inaczej możemy zostać źle zrozumiani.

Odszedł szybkim krokiem, ona zaś nie mogła oderwać oczu od jego wysokiej, smukłej, eleganckiej sylwetki.

Wrócił w towarzystwie Roberta i Rebeki. Robert podał jej szklanę.

- Jak się masz, moja boska - powitał ją w swoim stylu i odciągnął na stronę. - Chodź, przejdźmy się.

Ty będziesz sączyła złocistą whisky, a ja opowiem ci o swoich sześciu tygodniach w Maroku. Poszli krętą alejką. Robert opowiadał.

- Mam mnóstwo zdjęć z tej podróży. Pokażę ci je przy najbliższej okazji - zakończył.

- Z przyjemnością je zobaczę. - Czwała się już mocno wstawiona. - Ja z afrykańskich krajów znam tylko Egipt.

- Cudownie! Planuję tam pojechać w przyszłym roku.

- Ale na razie mógłbyś obejrzeć zdjęcia, które stamtąd przywiozłam. - Roześmiała się, właściwie bez powodu.

- Bomba! - Poglaskał ją po włosach i skubnął w ucho. - Doprawdy, tak mnie rozpałałaś, że pracuję na wszystkich czterech cylindrach.

- Lepiej usiądźmy gdzieś tutaj w ogrodzie. Nie wejdem po schodach.

Złożył jej kołyszającą się głowę na swoim ramieniu.

- Pomogę owieczce wejść do owczarni.

- Lepiej zrezygnuj z tego, Robercie. - Zachichotała. - Wiesz, o czym mówię. Musisz być chyba jedynakiem, bo masz kompletnie przewrócone w głowie.

- A ty jesteś skończoną pięknnością, która zlituje się nad biednym Robertem i pokaże mu te zdjęcia.

Zachwiała się i gdyby nie pomoc Roberta, mogłoby się to skończyć upadkiem.

- Dobrze! Chodźmy, natrętny chłoptasiu! Kiedy weszli do jej sypialni, wskazała ręką na zdjęcia wiszące na ścianie.

- Oto one!

Zaciągnął ją na łóżko.

- Stąd dużo lepiej je oglądać - powiedział chrapliwym głosem, całując ją w odsłonięty kark.

- Hola, Robercie! Co ty wyprawiasz? Przestań natychmiast!

Ale on był już we władzy swojej żądzy. Pchnął Susy na poduszki i zdarł z niej bluzkę.

- Susy... Susy... - jęczał. - Przecież zgodziłaś się tu przyjść.

- Puść mnie, ty głupia pało. - Poczula na sobie jego ciało. Gniótł dłońmi jej piersi. Obsypywał wilgotnymi pocałunkami. Strach pomieszany ze wstrętem nagle rozjaśnił jej w głowie. Zaczęła walczyć. - Wynoś się stąd, bo zaraz...

Roześmiał się i sięgnął ręką do suwaka jej spodni. Krzyknęła.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem i do sypialni wpadł Ross. Jednym rzutem oka ocenił sytuację. Skoczył ku Robertowi i chwyciwszy go za kark poderwał na nogi.

- Won, łajdaku! Pogadamy później!

I zanim Robert zdołał coś powiedzieć, wyrzucił go na korytarz.

- Szkoda, że nie dałem ci wówczas utonąć, ty draniu! - krzyknął jeszcze za nim, po czym odwrócił się do Susy.

Upokorzona, kończyła właśnie zaprowadzać ład w swoim ubraniu i włosach.

- Dzwonią twoi rodzice - oświadczył twardym głosem.

- Dziękuję, Ross. Nie słyszałam telefonu. Odbiorę tutaj. - Była skończoną idiotką i dostała za swoje.

Wciąż patrzył na nią z chmurną surowością w oczach.

- Czy dobrze się czujesz?

- Tak, Ross, dziękuję. - Spuściła wzrok. - Chyba nie myślisz, że ja...

- Niczego nie myślę. Najważniejsze, że ten drań nie zdażył zrobić ci krzywdy.

Wyszedł z pokoju, ona zaś sięgnęła po słuchawkę.

Posypały się serdeczności. Rodzice wspaniale spędzali czas. Urodzinowy prezent był w drodze. Tęsknili za nią, a ona za nimi.

Gdy zeszła na dół, zauważyła, że goście bawią się w najlepsze. Widok wesołego, roztańczonego, pod-ochocznego towarzystwa był pewną rekompensatą za ostatnie przeżycie. Tylko nigdzie nie mogła dostrzec Rossa i Roberta Sloana.

O świecie podano pieczone. W ogrodzie zalegała błękitna mgła. Krzyk mew dochodził jak przez ścianę z waty.

Towarzystwo zaczęło się rozjeżdżać. W końcu z czterdziestu, a może pięćdziesięciu osób została tylko Julia. Usiadły przy filiżankach mocnej, czarnej kawy.

Susy jednym tchem wyrzuciła z siebie, co leżało jej na sercu.

- Bóg jeden wie, Julio, co Ross sobie pomyślał. Znikł i nawet nie pożegnał się ze mną.

- Nie bądź wariatką, Susy. Żadna tu twoja wina. Prawdopodobnie wyszedł z Robertem, żeby powróżyc mu z gwiazd. Myślę, że ten nadmuchiwany Romeo będzie musiał pożegnać się z pracą w naszym szpitalu.

Susy wypła łyk kawy.

- Wiesz, może to zabrzmi śmiesznie, ale zastanawiam się, czy nie dosypał mi czegoś do szklanki z alkoholem. Bywało, że piłam trzy razy więcej, lecz nigdy nie czułam się tak pijana. A że byłam pijana, niech świadczy fakt, iż zaprowadziłam obcego faceta do swojej sypialni.

- Zapomnij o tym. Nie ma sensu się dręczyć. Najważniejsze, że twoi goście dobrze się bawili.

Słyszałam opinie, że twoje urodziny mają szansę stać się wydarzeniem roku.

W poniedziałek, jak było do przewidzenia, Susy została wezwana do gabinetu Rossa. Kiedy weszła, przywitało ją zimne spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu. Zapewne był przeświadczony, że sama rzuciła się w ramiona Roberta Sloana lub przynajmniej świadomie go sprowokowała do takiego zachowania.

Ross patrzył na Susy i zadawał sobie pytanie, co jest w tej kobiecie, że Marc się w niej kocha, Sloan chce ją zgwałcić, zaś on, Ross, czuje na jej widok ciepło w okolicy serca? Był niemal pewny miłości Marca do Susy, jak również tego, że miłość ta była odwzajemniana. Mógł się jednak mylić. Błądził w ciemności. Światło i mrok następowały po sobie w tak krótkich odstępach, że dopiero co dostrzeżony obraz ginął natychmiast i już sam nie wiedział, czy nie uległ jakiemuś wzrokowemu omamowi.

- Czy wezwałeś mnie w jakiejś ważnej sprawie, Ross? - Susy miała rumieńce na policzkach.

- Tak, w bardzo ważnej. Przede wszystkim chciałbym przeprosić cię, że opuściłem przyjęcie bez słowa pożegnania. A także upewnić się, że nic ci się nie stało.

- Jestem cała i zdrowa, Ross.

- Zostały jeszcze dwie sprawy, ale tych wolałbym nie poruszać w tym miejscu. Czy możemy umówić się na obiad?

- Dziś idę wcześniej spać.

- Nie zajmę ci dużo czasu.

- W takim razie może o wpół do siódmej. Odpowiada?

- Jak najbardziej.

Kiedy odeszła, Ross pograżył się w myślach. Wreszcie uniósł głowę, głęboko odetchnął i poszedł coś przekąsić.

W stołówce natknął się na Marca.

- Właśnie szukałem cię tutaj! - wykrzyknął Amerykanin. - Mam już bilet powrotny. Wracam przez Irlandię. Jejku, jak ten czas leci!

Umysł Rossa jeszcze nie całkiem zdążył się uwolnić od myśli o Susy. Naprzeciwko siedział mężczyzna, który być może w tej chwili również o niej myślał, więcej, miał wobec niej matrymonialne plany. Wracał do kraju wcześniej, niż pierwotnie zamierzał. Kto wie, czy nie po to, by przygotować się na jej przyjazd?

- Czy nie uważasz, że wczorajsze przyjęcie było bardzo udane? - zapytał Ross lekko ironicznym tonem.

- Było klasa. Niestety, musiałem wyjść przed świtem. Słyszałem, że na śniadanie podano pieczone z rożna. Susy to świetna dziewczyna. Zasługuje, by i do niej uśmiechnęło się szczęście. Chciałbym być tym, którego wpływ na taki obrót losu byłby decydujący.

Ross poczuł się tak, jak gdyby w jego piersiach eksplodowała mina. Zazdrość na chwilę odjęła mu mowę.

- Wiesz, Marc, nad jednym się zastanawiam. Mówimy, że Susy doszła do siebie, dźwignęła się z psychicznego dołka. Ale czym właściwie ten jej stan był spowodowany? Dramatem zerwanych zaręczyn? Mógłbyś wyjaśnić mi tę kwestię?

Marc zmieszał się i skrzywił. Wyglądał w tej chwili jak człowiek, którego bolą zęby.

- To złożona sprawa, Ross. Wiedzą o niej tylko cztery osoby. Rodzice Susy, Julia i ja.

Ross wałnął się pięścią w kolano.

- Na miłość boską, człowieku, o jakiej sprawie mówisz? Nie mogę być tym, któremu zrzuca się ze stołu same resztki!

Marc zmrużył oczy, oceniając sytuację. Ross bez wątpienia kochał tę dziewczynę i nie sposób go było traktować jako natręta. Przeciwnie, intuicja podpowiadała mu, że to właśnie Ross powinien być pierwszy poznać prawdę o irlandzkim epizodzie w życiu Susy.

Przestał się wahać. Podjął decyzję.

- Sprawa, o której mówimy, stała się sekretem tylko dlatego, że takie było życzenie Susy. Sama w sobie jest tylko przykładem tragizmu w życiu człowieka. Otóż Susy poznała w Belfaście pewnego młodego żołnierza... - I Marc opowiedział Rossowi całą tę smutną miłosną historię. Wspomniał o zaręczynach, bombie, pobycie Susy w klinice psychiatrycznej, jej powolnym powrocie do zdrowia, a wreszcie decyzji porzucenia zawodu pielęgniarki. - Jak widzisz, stary przyjacielu, mówimy o czymś, co już przeminęło. Nasza Susy odrodziła się, pokonała własne cierpienie. Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, iż cała rzecz musi pozostać między nami.

Słuchając opowiadania Marca, Ross coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jest marnym człowiekiem. Czuł wręcz do siebie wstę. Głęboko i szczerze żałował, że powiedział pewne słowa, dopuścił pewne myśli, wykonał pewne gesty. Wiele by dał, by jakaś gumka niepamięci starła je z jego konta.

Smutno się uśmiechnął.

- Stokrotne dzięki, Marc. Teraz zaczynam rozumieć to i owo. Na przykład nadopiekuńczość jej rodziców. Myślałem nawet, że jest przez nich nadmiernie rozpieszczana, szczególnie przez ojca.

- Nie, łan to twardy gość. A córka odziedziczyła po nim tę cechę. - Marc roześmiał się. - Uważaj, żebyś jej nie podpadł.

Susy nie była pewna, czy naprawdę dziś wieczór chce się spotkać z Rossem. Obawiała się, że zechce on nawiązać w rozmowie do Roberta Sloana, a jeszcze bardziej tego, że będzie mu musiała powiedzieć o Patricku. A jednak przebrała się, a nawet zrobiła delikatny makijaż, kiedy zaś po nią zajechał, starała się nie okazywać swojego niepokoju i smutku.

Wybrali starą gospodę na obrzeżach miasta. Urządzona była stylowo. Stały tu długie stoły z ławami. Usiedli w pobliżu otwartego okna. Nie licząc samotnego mężczyzny w kącie nad kuflem piwa, byli jedynymi gośćmi.

- Susy, wybac, ale muszę zacząć od Sloana - powiedział Ross. - Mieszkasz sama i gdyby ten incydent wydarzył się w zwykły dzień, to wówczas...

- To wówczas sama dałabym sobie z nim radę. Nie jestem wprawdzie mistrzynią judo, ale mój brat nauczył mnie kilku skutecznych chwytów. -

Usłyszała nagle przy uchu podszept diabła. - Skąd zresztą wiesz, że sama nie zwabiłam Sloana do swojej sypialni? W wiadomych celach.

Twarz Rossa poszarzała.

- Nie wyglądałaś mi wówczas na osobę, której przerwano rozkoszną imprezę. Idę o zakład, że zaciągnął cię tam pod jakimś fałszywym pozorem.

- To ja go zaprosiłam, aby pokazać mu zdjęcia z mojej podróży do Egiptu.

- Daj spokój, Susy! Nie udawaj pierwszej naiwnej! Bezkarnie nie zaprasza się mężczyzn do swojej sypialni.

Czy to naprawdę była ta sama kobieta, która według tego, co powiedział mu Marc, miała przeżyć wielką i tragiczną miłość? Czy te trywialne słowa, które przed chwilą usłyszał, pasowały w ogóle do takiej osoby?

Nagle spostrzegł, że Susy uśmiecha się do niego, i poczuł, że całkowicie go tym rozbraja.

- Och, głuptasku, przecież ja tylko żartowałam. Jasne, że to i owo słyszałam o Sloanie. Kiedy jednak się zjawił na moich urodzinach, wydawał się być miłym, a nawet ujmującym młodym człowiekiem. Gawędziliśmy o naszych podróżach i faktycznie zaprosiłam go na górę. Zgadza się z tobą, że było to bardzo nieroztropne z mej strony. Ale przedtem Sloan poczęstował mnie alkoholem i nie mogę wykluczyć, że wsypał coś do szklanki, gdyż po jednym czy dwóch łykach całkowicie utraciłam kontrolę nad sobą. Reakcja ta, wydaje mi się, nie miała nic wspólnego z ilością wypitego alkoholu.

Ross zmarszczył brwi.

- Dziwne, lecz już obilo mi się o uszy, że Sloan zażywa narkotyki. To by w jakimś sensie potwierdzało twoją hipotezę. Gdy tylko wróci łan, pozbedziemy się chłoptasia.

- Wybaczysz mi zatem?

Spojrzał na jej przecudną, rozjaśnioną twarz i poczuł, że wybaczyłyby jej stokroć gorsze rzeczy. Cóż zresztą miał jej wybaczać? Nie ponosiła tu żadnej winy.

Ujął jej dłoń i przywarł do niej ustami.

- Ross, czy nie sprawię wam dużego kłopotu, jeśli w najbliższy poniedziałek i wtorek wezmę sobie urlop?

Uniósł głowę. Zaskoczyła go ta nagła zmiana tematu.

- Wyjeżdżasz?

- Tak, do Belfastu.

Nagle wszystko stało się jasne. Czyż Marc nie wracał do Stanów przez Irlandię!

Ale Ross już nie miał czasu rozwinąć tej strasznej myśli, gdyż oto Susy zaczęła mówić, mówić o tym, co stanowiło dotąd jej zazdrośnie skrywany sekret. Ross znał go już z ust Marca, ale opowieść Susy ukazała mu cały tragizm tej historii.

- Jak widzisz - kończyła - muszę tam pojechać. Zbliży się rocznica śmierci Patricka. Jego rodzice oczekują mnie. Nie mogę ich zawieść. Nie mogę zawieść jego.

Teraz już Ross wiedział, że nie Marc jest jego rywalem, tylko tamten angielski żołnierz. Ale jak mógł rywalizować z... umarłym?

- Susy, kochanie - rzekł, patrząc w jej śliczne piwne oczy - przesłałaś przez pasmo cierpienia i tylko swojej odwadze zawdzięczasz, że ból cię nie unicestwił. Przy tobie my wszyscy jesteśmy tchórzami. Oczywiście, że możesz jechać do Belfastu na tak długo, jak zechcesz. Wierzę, a nawet jestem pewien, że wizyta w tym mieście, mimo iż siłą rzeczy będzie budziła wspomnienia, nie cofnie cię na twojej drodze ku wyzdrowieniu.

Uścisnęła jego dłoń. Był to gest solennej obietnicy. Zanim opuścili zaciszną gospodę, umówili się jeszcze, że jutrzejszy dzień spędzą wspólnie z Robinem.

Kiedy nazajutrz Ross i Susy zajęchali po pieguska, podniecony chłopiec czekał już na nich z koszykiem pełnym swych najcenniejszych drobiazgów. Na wierzchu leżały kubek, łopatka, pluszowy miś, mała lokomotywa, ręcznik, notes, ołówek oraz piłka. Co było pod spodem, wiedział tylko on.

- Gdzie jedziemy, wujku Ross? - zapytał, wygodnie rozsiadając się na fotelu pasażera.

- Zapytaj lepiej, gdzie nie jedziemy - odparł Ross, nie kryjąc swego rozbawienia. - Program na dzisiaj mamy bardzo bogaty.

Zwiedzili najpierw mieszczące się w kilku budynkach muzeum techniki. Czegóż tam nie było! Przeróżne ciuchcie, tkalnie, walce, piece, telefony, zegary, silniki, koła zębate, latające maszyny, maszyny rolnicze, komputery. Ale Robina, jak to chłopca, najbardziej zafascynowały samochody. Zaś o mało nie zemdlał z zachwytu, gdy okazało się, że może przejechać się automobilem z przełomu wieków, w którym siedziało się jak na koźle bryczki i który miał trąbkę meczącą jak owca. Opuściwszy muzeum, wpadli na lody, by zaraz udać się na plażę, gdzie nie zabrakło takich atrakcji, jak opychanie się łakociami czy gra w piłkę. W końcu zwinęli manatki i wrócili na promenadę, przy której stał ogromny namiot cyrku. Właśnie zaczynało się przedstawienie. Trwało dwie godziny i były to w przypadku Robina dwie godziny olśnienia, śmiechu i ogromnych emocji. Po przedstawieniu

poczuł się głodni i zajrzeli do miłej kafejki. Robin z karty dań wybrał fasolkę i frytki.

- Dobre to - powiedział z pełnymi ustami - ale wolę posiłki zrobione przez Susy.

- Szczęściarzu! - wykrzyknął Ross. - Objadałeś się czymś, czego ja dotąd nawet nie spróbowałem.

Robin powiódł wzrokiem po Susy i Rossie.

- Wujku Ross, ona mnie kocha. Nie jestem pewien, czy kocha również ciebie.

Ross spojrział na Susy. Zarumieniła się.

- Być może powinienem ją spytać i przekonać się, co odpowie!

Robin, zajęty karkołomnym zadaniem nabicia na widelec ostatniego ziarenka fasoli, ciężko westchnął.

- Zapytałem raz Susy, czy chciałaby zostać moją mamusią, ale odpowiedziała mi, że nie może, ponieważ nie ma męża. - Przerwał i podniósł głowę, jakby olśniła go pewna myśl. - Mogłaby ciebie poślubić, wujku Ross.

- Będę musiał to przemyśleć - powiedział Ross, znów spoglądając na zarumienioną Susy.

- Wydaje się, że najwyższy czas wracać - oświadczyła, wstając zza stołu.

Kiedy w holu sierocińca żegnali się z Robinem, z całej trójki była radość z udanego dnia. Wszystko dzisiaj im sprzyjało, nawet pogoda, która ostatnio dość często się psuła.

- Wiesz - powiedział Ross już w samochodzie - z tego Robina to całkiem inteligentny gość. Miewa bardzo ciekawe pomysły.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczór pożegnalny u Marca był dla Susy mieszaniną radości i smutku. Mieli wprawdzie razem lecieć do Irlandii, jednak później Marc wsiadał w samolot do Stanów, a to oznaczało dla niej ból rozstania. Traciła tym samym, nie wiadomo na jak długo, kogoś bardzo jej drogiego.

Ale na razie byli razem, śmiali się, żartowali i Susy syciła się chwilą obecną.

Pod koniec wieczoru, kiedy już trzeba było się żegnać, Marc i Ross wymienili serdeczny uścisk dłoni.

- Nie mówię „żegnaj” - rzekł Marc - tylko „do zobaczenia”. Tyle że tym razem ty mnie odwiedzisz, stary przyjacielu. Zacznę przygotowywać się na twój przyjazd już pierwszego dnia po swoim powrocie.

- Dziękuję, Marc. Twój pobyt tutaj był dla nas stanowczo za krótki. Prawda, kochanie?

Susy kiwnęła głową. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Na dworze wiał zimny wiatr. Zanosiło się na zmianę pogody. Być może nawet na deszcz.

- Przyjaźń Marca chyba musi wiele dla ciebie znaczyć - powiedział Ross w samochodzie.

- Tak - odparła krótko, ale z takim ciepłem w głosie, jakby mówiła o ukochanym bracie.

Ross, raz na zawsze wyzwolony z zazdrości o Marca, pomyślał, że kogo stać na taką głębię uczuć w przyjaźni, tego być może stać będzie na miłość. Ujrzał przed sobą światełko nadziei.

Kiedy więc Susy zaprosiła go na kolację, uznał to za dobrą wróżbę.

Przyjechał trochę wcześniej, niż planował. Gdy Susy udała się do kuchni, on rozpałił ogień w niewielkim kominku w salonie. Trzaskające płomienie promieniowały ciepłem, zaś gruby bordowy dywan, obite pluszem meble i ciężkie, suto marszczone zasłony potęgowały atmosferę przytulności.

Wkrótce zasiedli do omlotu z sałatką. Na deser pili francuskie wino i słuchali z płyt muzyki Mozarta, Elgara i Segovia.

W pewnym momencie stała się rzecz najnaturalniejsza w świecie. Ross usiadł na dywanie przy zasłuchanej Susy, objął ją i pocałował. Wiedział już, że kocha tę cudną dziewczynę i że zrobi wszystko, by odrodziła się dla miłości. Na razie wracała do Irlandii, żeby raz jeszcze zanurzyć się w przeszłość. Oby tym razem było to równoznaczne z jej pełnym wyzwoleniem się z rozpacz.

W niedzielę w małym kościółku na peryferiach Belfastu odbyła się msza za duszę Patricka. Ksiądz O'Hara mówił w kazaniu o miłości i poświęceniu, odwadze i nadziei. Mówił też o bólu, który uszlachetnia i nigdy nie wyklucza przyszłego szczęścia.

Wieczorem w prywatnej rozmowie z Susy rozwinął tamtą myśl:

- Musisz, moje dziecko, spoglądać z ufnością w przyszłość. Otworzyć swoje serce na miłość, gdyż wielu jest takich, którzy jej potrzebują. Przede wszystkim potrzebują jej od ciebie dzieci, którymi opiekujesz się w szpitalu. A także ten mężczyzna, o którym mi wspominałeś. To chyba dobry człowiek. Wierzę, że znajdziesz z nim szczęście. Bo szczęście, moje dziecko, to niezbywalne prawo każdej ludzkiej istoty.

Nazajutrz Susy poszła po raz ostatni na grób Patricka. Tonał w kwiatach, zaś dwie smukłe sosny, rosnące po obu jego stronach, sprawiały wrażenie, jakby pełniły przy nim wartę honorową. Tym razem w oczach Susy nie było łez. Pojawił się natomiast ciepły uśmiech i właśnie z tym ciepłym uśmiechem na twarzy pożegnała się ze swym ukochanym.

Susy, zgodnie z planem, wróciła do domu we wtorek wieczorem, lecz nie zdążyła jeszcze rozpakować walizki, kiedy zadzwonił telefon. Poznała głos Rossa.

- Susy! Witaj na wyspie!

- Ross, ty chyba masz zdolności telepatyczne! Skąd wiedziałeś, że już jestem?

- Przeczucie. - Roześmiał się. - Nie, zapoznałem się z rozkładem lotów. Czy udał się pobyt w Belfaście?

- Nic ująć, nic dodać. Opowiem, gdy się spotkamy. Marc przesyła serdeczne pozdrowienia.

- Dzięki. A teraz dwie wiadomości. Pierwsza od twoich rodziców. Wracają samolotem w nocy z soboty na niedzielę. Obiecałem w twoim imieniu, że będziesz na lotnisku. - Rozmawiając z nią czuł się jak uczeń: podniecony, rozradowany, oszołomiony perspektywą bliskiego spotkania.

- A druga?

Po tamtej stronie zapanowała chwilowo cisza.

- Nie jest dobra. Chodzi o Robina. Susy wstrzymała oddech.

- Co się stało?

- Kiedy dowiedział się, że wyjechałeś, wpadł w takie przygnębienie, że aż zaniepokoiło to panią Harris. W sobotę zabrało go do siebie tamto małżeństwo.

Wizyta skończyła się całkowitą kląpą. Wrócili wstrząśnięci twierdząc, że to wręcz nie to samo dziecko. Praktycznie zrezygnowali z dalszych starań o adopcję.

- A co z Robinem?

- Minał mu już ten napad złego humoru, ale dla odmiany zasklepił się w milczeniu i odmawia przyjmowania jakichkolwiek posiłków.

- Muszę się z nim jak najprędzej zobaczyć. A może uważasz, że w tej sytuacji nie powinnam? - zapytała z nutą wątpliwości w głosie.

- Przeciwnie, sądzę, że na twój widok pierzchną jego lęki. On się po prostu boi samotności. Ubzdurał sobie, że za jednym zamachem stracił ciebie i Sandrę, która tej soboty również pojechała do przybranych rodziców.

- Biedny chłopaczek. W takim razie już jadę.

- Wstrzymaj się jeszcze. Pozwól mi porozmawiać najpierw z dyrektorką. Wracając z pracy, wpadnę do ciebie.

Przyjechał po godzinie. Otworzyła mu drzwi z bijącym sercem i niepokojem wypisanym na twarzy. - I co?

- Pani Harris chce, żebyśmy jak najprędzej przyjechali. Z jej słów wynika, że Robin dostał ataku astmy. Kaszle, ma trudności z oddychaniem. Słowem, nie jest dobrze.

Rzeczywiście nie było dobrze. Kiedy przybyli do sierocińca, Ross po zbadaniu chłopca oświadczył, że trzeba natychmiast wezwać karetkę i przewieźć go do szpitala. Robin wręcz się dusił. W pierwszej kolejności potrzebny był tlen.

Susy miała już nigdy nie zapomnieć tych czterech dni i nocy, które spędziła przy Robinie, nie śpiąc, nie jedząc, prawie odchodząc od zmysłów z rozpaczą i trwogą. Dziecko balansowało jakby na cieniutkiej lince pomiędzy życiem a śmiercią. Zdarzały się chwile, kiedy w ogóle traciło oddech, a puls stawał się ledwo wyczuwalny. Wtedy Susy myślami uciekała ku Bogu, błagając Go o miłosierdzie i akt łaski.

Czwartego dnia nastąpiło polepszenie. Gorączka zaczęła spadać, oddech stał się głębszy i bardziej rytmiczny. Dziecko przestało majaczyć i słodko zasnęło.

Susy rzuciła się w ramiona Rossa, który właśnie przyniósł jej kawę. Wybuchnęła płaczem, ale tym razem były to łzy szczęścia. Jej ukochany piegusek był uratowany.

Następne dni potwierdziły, że choroba zaczęła się cofać. Robin siadał już na łóżku i stał się tak rozmowny, jakby skrytość i rezerwa nigdy nie leżały w jego charakterze.

Tego popołudnia Ross wezwał Susy do swego pokoju i bez słowa, a tylko z tajemniczym uśmiechem na twarzy wręczył jej list pisany na czerpanym papierze.

Z przyjemnością zawiadamiamy, że zamówiona przez pana łódź żaglowa o parametrach etc... została już dostarczona do przystani w St Helier...

Susy poczuła się całkiem zbita z tropu.

- Z tego listu wynika, że kupiłeś nowy jacht pełnomorski. Ale może się mylę?

- Nie mylisz się, siostró Frenais. Kupiłem go i jeszcze dzisiaj powiem ci, dlaczego. - Wyjął list z jej ręki. - Jak sądzisz, czy Rebecce będzie się podobał?

Odniosła wrażenie, że szczebel, na którym stała, ułamał się i teraz ona leci w przepaść.

- Chyba... chyba... tak. Chociaż... ja przecież go nie widziałam.

- Mimo to bardzo zależy mi na twojej opinii.

- Opinię wyrabiamy sobie o czymś konkretnym. A ja powtarzam: nie widziałam twojego jachtu.

- Więc go zobaczysz. Zabieram cię do portu. I to zaraz.

- Ale ja...

- Nie sprzeciwiaj się, kobieto! - Gdyby nie uśmiech towarzyszący tym słowom, byłyby one nie do przyjęcia. - Po drodze kupimy kawę, żebym miał czym poczęstować swego pierwszego gościa.

Nowy jacht Rossa był zachwycający. Wyrafinowana linia kadłuba przywodziła na myśl dawne fregaty. Metrowy bukszpryt i wysoka rufa stanowiły dwa wyraziste krańcowe akcenty. Każdy detal w osprzęcie, zmarlowane żagle, kokpit, nadbudówka, wszystko to lśniło w słońcu lakierem, mosiądzem i czystością.

Prawdziwe niespodzianki czekały jednak pod pokładem. Panował tu komfort, jakiego nie powstydziliby się niejedno mieszkanie. Salon, łazienka, przestronna messa... Ściany wyłożone jasnym drewnem, meblowanie proste, lecz estetyczne i wygodne, na podłodze miękka wykładzina w kolorze miodu.

Lecz Susy, mimo że wyrażała swój zachwyt, czuła jedynie ogromne skrepowanie. Cóż ona tu bowiem robiła? Miała ocenić, czy ta śliczna, nowoczesna łódź spodoba się innej kobiecie? Jeszcze nigdy w życiu nie stanęła przed równie niewdzięcznym zadaniem.

- Ross, masz jacht, jakiego być może nikt nie ma na naszej wyspie, ale ja już muszę iść.

Zastąpił jej drogę.

- Susy, zapomnij o Rebecce. To był tylko podstęp, być może całkiem zbędny, lecz chciałem, żebyś słysząc o innej kobiecie zadała sobie pytanie, czy mnie kochasz. Czy kochasz Rossa Beaumaris? Bo ja kocham cię już od bardzo dawna, właściwie od momentu, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem. Susy poczuła, że drży na całym ciele.

- Nie mogę... - Nie dokończyła, gdyż chwyciło ją za gardło jakieś ogromne wzruszenie.

Zbladł i pochylił głowę.

- Jestem kompletnym wariatem. Wbiłem sobie do głowy, że czeka nas jakaś przyszłość. Wybacz, Susy, że naraziłem cię na taką okropną sytuację.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Głuptasku, ja tylko chciałam powiedzieć, że nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Po rozmowie z księdzem O'Hara jestem całkiem inną osobą. Ksiądz wyzwolił mnie z wyrzutów sumienia, pobłogosławił naszą miłość. Tak, Ross, czeka nas wspaniała przyszłość, bo ja również cię kocham. Czy pamiętasz agrest?

- Pamiętam. I jeszcze to, że twoje uda przykleiły się wówczas do krzesła.

- Jak widzisz, niczego się nie zapomina, jeśli towarzyszą temu głębokie uczucia.

Objęli się i opadli na koję.

- Zapadamy się, Ross - szepnęła. Powoli rozpiął guziki jej bluzki.

- Tak, zapadamy się w siebie, moje kochanie. Mój Boże, jaka ty jesteś piękna!

Przez jakiś czas nic nie było słyhać prócz ciszy i pluskających przy nabrzeżu fal.

W pewnym momencie Susy zapytała:

- Czy nadal uważasz, że jestem tatusiową córeczką?

- Uważam, że jesteś najpiękniejszą z kobiet, jedyną, którą chcę kochać i spędzić z nią resztę życia. I mieć z nią dziewczynkę, którą ktoś inny być może kiedyś nazwie tatusiową córeczką. Dlaczego więc nie mielibyśmy dać jej braciszka? Co powiesz na pomysł, żeby miał na imię Robin? Obsypała go pocałunkami.

RS

RS